Rok 3. Kraków, dnia 5 Marca 1884 r. Nr. 5.

PRZEGLĄD LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA NA DZIEŁA J. U. NIEMCEWICZA.

„Niemcewicz w swoich opiniach literackich i politycznych wyobrażał co było najszlachetniejszego: Niektóre z jego pism sprawiły w kraju ogromne wrażenie. Gdyby generacje umiały czytać historyą takich ludzi, widziałyby w niej koleje własnych swoich losów. — Prowadził on swój wiek i zamknął jego wrota“ — tak pisze **Adam Mickiewicz** świeżo po śmierci Niemcewicza (Literatura słowiańska II.) i dodaje, że lubo zawcześnie jest jeszcze na biografję Niemcewicza, to „jednak można już ocenić co jest nieśmiertelnem w jego dziełach, w pierwiastku z którego czerpał natchnienie“.

Niemcewicz, Prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, żołnierz i polityk, był osobistością, przed którą schylały się wszystkie głowy jako przed wzorem obywatela. Każde jego słowo było wyrocznią, postać jego zaćmiewała wszystkich współczesnych. Męża tego otaczało społeczeństwo czcią prawie religijną, a utworami jego karmiły się całe pokolenia. —

Znaczenie Niemcewicza w historji i literaturze narodu jest ogromne. To też sądzić należy, i wybór dzieł jego podany w taniem wydaniu rozejdzie się po całym kraju, zwłaszcza iż od lat 40stu zbiorowej edycyi dzieł jego nie było. A i te które były, są dziś nieznane i nadzwyczaj rzadkie i to do tego stopnia. iż w żadnej z bibliotek publicznych nietylko kompletu dzieł Niemcewicza znaleźć nie można, ale nawet całości żadnego z częściowych wydań jego utworów. —

Dzieła Niemcewicza wyjdą nakładem księgarni K. Bartoszewicza w 5ciu tomach z portretem. Chcąc uprzystępnić ich nabycie, ogłasza się *prenumeratę* w kwocie *3 złr. za wszystkie pięć tomów*, w oprawie *4 złr. 60ct.* Pragnący odbierać pod opaską każdy tom osobno dopłacają po 15 ct. do tomu t. j. płacą za egzemplarz broszurowany *3 złr. 75. ct.*, za oprawny *5 złr. 35 ct.* Za przesyłkę wszystkich tomów razem po wyjściu dopłaca się *40 ct.*

Druk tomu Igo rozpoczął się. Co miesiąc będzie wychodził tom jeden. **Prenumeratę przyjmuje się tylko do 20 Marca**, poczem cena dzieł znacznie podniesioną zostanie.

PERŁY HUMORU POLSKIEGO

wychodzić będą zeszytami i obejmą to wszystko, co literatura nasza wydała wybitnego na polu humorystyki. Zacząwszy od Reja a skończywszy na ostatnich humorystach naszych — każdy znajdzie miejsce w **Perłach humoru**. Procz tego uzupełniamy ten zbiór anegdotami, wierszami i innemi humorystycznemi drobiazgami, jakie niedrukowane dotąd znajdują się po rękopismach. Podawać będziemy tylko sam wybór, tylko prawdziwe **perły humoru**, aby treść odpowiadała w zupełności tytułowi. Wejdą do zbioru i przysłowia i dowcipne aforyzmy, wejdą i utwory ludowe, których świeży, naturalny dowcip niejednokrotnie wiele ma wartości i głębokiej myśli. Słowem **Perły humoru** będą rzeczywistą skarbnicą narodowego dowcipu.

Perły humoru wyjdą nakładem K. Bartoszewicza w 2ch wielkich tomach. Dla ułatwienia w nabywaniu każdy tom podzielony zostanie na 6 zeszytów. Cena każdego zeszytu w wielkiej 8ce obejmującego 3—4 arkuszy druku wynosić będzie **30** ct., z przesyłką pocztową **35** ct. **Składający z góry prenumeratę za całość 12 zeszytów płacą tylko 2 złr. 50 ct.** (zamiast 3 zlr. 60 ct.) z przesyłką pocztową zaś **3** zlr. **20** ct. (zamiast 4 zlr. 20 ct.)

Pierwsze dwa zeszyty **Pereł humoru** już się ukazały. Dalsze zeszyty wychodzić będą w odstępach dwu-tygodniowych.

Prenumeratę na **Perły humoru** przyjmuje się tylko do 20 Marca 1884.

Księgarnia K. Bartoszewicza w Krakowie

wydała oraz otrzymała na skład główny następujące dzieła:

Anczyc Wł. Dzieje narodu węgierskiego popularnie opisane z rycin. —·40

Asnyk. (E-ly) Cola Rienzi; dramat historyczny z XIV. wieku w 5-ciu aktach oryginalnie napisany cena 2 zlr. zniżona 1·—

— Trubadurowie. Kraków 1872. —·20

Bajron. Don-Żuan w haremie, tłum. Edward Porębowicz. Kraków 1882 —·30

Bartoszewicz Juljan. Historya literatury polskiéj, wydanie 2 pomnożone i tańsze. — Kraków 1878. 2 tomy 5·—

— Historya pierwotna Polski, pierwsze wydanie z rękopisu 4-ty. Kraków 1879. 14·—

— Szkice z czasów saskich. Wydanie 1. Kraków 1880. Treść:

Kropińscy, obrazek sejmikowego życia. Grandmuszkieterowie Augusta II. Kampement w Warszawie. 1732. Sprawa Karwickiego. Pan Bystry. Dzieje niewiasty polskiej. Koronacje obrazów świętych. Ignacy Bohusz, późn. sekretarz konfed. Barskiej. Karol XII. w Warszawie w roku 1702. Warszawa w r. 1705. Ks. Wincenty Santini, nuncyusz w Polsce. 1721—1728. Systemat Karwickiego reformy Rzeczypospolitej w roku 1706. 3·50

— Studja historyczne i literackie. Wydanie 1-sze. Kraków 1881.

Treść tomu 1-go: Helena Iwanówna, żona Aleksandra Jagielończyka. Stary poemat o Gdańsku. Krystyna Poniatowska (przyczynek do dziejów braci Czeskich w Polsce). O nuncjuszach w Polsce. O dochodach króla Stanisława Augusta. O przedrukowaniu Voluminów Legum 1732 r. O nowem wydaniu sag skandynawskich. Kniaź Kurbski na Wołyniu. Summy neapolitańskie. Kronika pałacu Krasińskich. Podróż Regnarda po Polsce. O bibliji reimskiej. Mikołaj Jemiołowski jako historyk. 3·50

Treść tomu IIgo: Elekcja Michała Korybuta. Księga kapturów rzeczyckich. O kasztelanie brzeskim Matuszewiczu jako poecie. Chazarowie i Połowcy. Ks. Wojciech z Konojad Dembołęcki. Starania domu Raku kiego w XVI. wieku dla pozyskania korony polskiej. Kasztelanja Połaniecka Kochanowskiego. Poselstwo księdza Jędrzeja Załuskiego do Portugalji 1674 — 1676. Podróż bezimiennego księdza francuzkiego do Polski za Jana Sobieskiego. Konstanty Swidziński i jego wieczysta fundacja. Hetmaństwo. Teatyni w Warszawie. 3.50

Treść tomu III-go: Warszawa i Kraków, jako stolice. Jan S. Jabłonowski i jego dzieło: Skrupuł bez skrupułu. Prawo o elekcji. Bitwa pod Beresteczkiem. Księga protokółów franciszkańskich prowincji ruskiej. Mazowsze-Mazury. Wawrzyniec Słupski Bandura, kandydat do korony polskiej. Co znaczyła i gdzie była Ukraina? Anna z Sapiehów Jabłonowska. Czy Przecław Lanckoroński był hetmanem Kozaczyzny. Kniaziowie i Książęta w Polsce. 3·50

Cena 3-ch tomów razem 10.50

Bartoszewicz Juljan. Anna Jagiellonka, 2 tomy razem Kraków 1882. 3.50

— Szkic dziejów kościoła ruskiego w Polsce, wydanie 1-e Kraków 1880. 4·—

— Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, Wojewody Mińskiego. Warszawa 1862. 2·50

— Kniaź i Książę. Kraków 1876. —·60

— Zamek Bialski, historya miasteczka, obrazy z życia magnatów. 1881. Lwów 2·25

Bartoszewicz K. Małpa - człowiek, nieznana satyra z XVIII. w. (odbitka z Ateneum) —·50

— Życie Jana Kochanowskiego, tresciwie zebrane Kraków 1883. —·20

— Dwadzieścia kronik Przeglądu literackiego i artystycznego. Kraków 1883. —·80

Bełcikowski. Wieczór w Czarnolesiu, scena liryczna Kraków 1882. —·20

Beranger. Piosnki w tłumaczeniu L. Kozlowskiego (w druku).

Bodzantowicz. Rodzina konfederatów. Puławscy. Lwów. 1869, cena 3 zlr. zniż. na 1·50

Buliński. Historya kościoła polskiego 3 tomy. Kraków 1873. cena 12 zlr. zniż. na 6·—

Buszczyński. Ameryka i Europa, studium historyczne i finansowe z krytycznym na sprawy społeczne poglądem. Kraków 1876. cena 5 zlr. zniż. na 2·50

— Sądy cudzoziemców o Polsce i jej walkach z zaborcami. Kraków 1883. —·50

Chołoniewski ks. Pisma pośmiertne 2 tomy. Lipsk 1854 cena 5 złr. 40 ct. zniż. na 1·20

Dzieduszycka Anastazja. Listy nauczycielki. Kraków 1883. 1·—

Dzieduszycki Izydor Dr. Patrjotyzm w Polsce. Kraków 1882 i 1883, 2 części 1·—

Dzieduszycki hr. Maurycy. Żywot Wacława Hieronima Sierakowskiego arcybisk. lwowskiego. Kraków. 1868 cena 2 zlr. 40 ct. zniż. na—·80

Flaubert Gustaw. Córa Hamilkara (Salambo). Kraków 1867 (na wyczerpaniu) cena 2 zlr. 50 ct. zniż na 1·—

Grudziński St. Idealista, poemat fantastyczny. Kraków 1871 cena 60 ct. zniż. na—·20

Heisig. Przewodnik do rysunku cyrklowego i linijnego, jako wstępna nauka do geometryi wykreślnej, rysunków architektonicznych i t. d. Kraków 1875 cena 2 zlr. 40 ct. zniż. na 1·20

Hoflmann A. W. Wstęp do nowoczesnej chemii, przetłomaczył z 5 wydania niemieckiego L. Maslowski. Kraków 1875 cena zł. 3.50 ct. zniżona na 1·50

Dr. Jordan. Nauka położnictwa dla użytku położnych 2 tomy. Kraków 1879 (na wyczerpaniu) 4·—

Kasprzycki. Geografia początkowa cena 75 ct. zniż. na—·30

Kraszewski-więzień i Niemcy Kraków 1883 —·30

Kochanowski Jan. Pieśni i treny. Kraków 1883 —·50

— Fenomena, Muza, Satyr, Monomachja. Kraków 1883 —·40

— Odprawa posłów greckich, Szachy, Dziewosłąb, Zuzanna, Broda, Marszalek, Zgoda, Epitalamium, Proporzec, Wtargnieniedo Moskwy, Pamiątka. Kraków 1883 —·50

— Fraszki. Kraków 1883 —·40

— Fragmenta, Wzór pań mężnych, Wróżki, O Czechu i Lechu, Wykład cnoty, O pijaństwie, Apoftegmata. Kraków 1883 —·30

— Psalterz Dawidów. Kraków 1883 —·80

— Rymy łacińskie w tłomaczeniu Brodzińskiego i Syrokomli. Kraków 1883 —·80

— Dzieła. Wydanie kompletne w 4-ch tomach, zawierające wszystkie pisma polskie Kochanowskiego, oraz dzieła łacińskie w tlomaczeniu Syrokomli i Brodzińskiego. Wydanie uznane za najlepsze ze wszystkich dotychczasowych, z dodaniem życiorysu, facsimile i portretu poety podług pomnika w Zwoleniu. Kraków 1882 3·20

— tož samo w oprawie w płótno ang. 4·80

Koziebrodzki. Klaudja, dramat. Kraków 1871 —·40

Krasicki Ignacy. Bajki i przypowieści. Kraków 1883 —.20

Rok III. Kraków, dnia 5 Marca 1884 r. Nr. 5.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr.. kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik **K. Bartoszewicz.**
Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Blaschke.**

Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.
Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.

DZISIEJSZA PANIENKA.

(„L'education des demoiselles").

Jak mię już znudziły, mamo,
Twoje Fenelony!..
Ciągle jedno i toż samo
Nudy i androny!..
Coś o pracy, nabożeństwie
Wiecznie pleść ma czoło!..
Z jego radą — o, — w panieństwie
Byłoby wesoło!..
Kiedy chcę być na balecie —
Mama nie chce, stęka —
Przecież tam jak nigdzie w świecie
Kształci gust panienka!..
Lubię balet!.. — to mi rzecz!..
Z Fenelonem — precz!..
Stary nudziarz... precz!..

Mama mówi: „szyj sukienkę:
„Praca — to zaleta!.."
Pięknie, — mieć pokłutą rękę,
Jak prosta kobieta!..
Może sobie moja Krysia
Zginać się i ziewać...
A ja — nie chcę!.. Będę dzisiaj
Cudny duet śpiewać...

Kiedy śpiewam w tym duecie, —
Metr przedemną klęka!..
Kocham śpiew!.. Muzyką przecie
Kształci się panienka!..
Z Metrem duet — piękna rzecz!..
A te igły — precz!..
Obrzydliwe... precz!..

Mama mówi: „wpisz do księgi
„Rozchody domowe..."
To mi dobre chce dać cięgi!..
Mam czem łamać głowę!..
To już doszłoby do krańców;
Brzydkie te rubryki
Jeszczeby mi w lekcji tańców
Pomięszały szyki!..
Ten pan tancmistrz — taki miły,
Tak mi ściska rękę!..
To też tańczę z nim, co siły:
Kształci to panienkę —
I przyjemna to jest rzecz!..
A rachunki — precz!..
Och, szkaradne... precz...

Mama mówi: „młodszą siostrą
„Zajmij się też, proszę..."
Boże!.. Tę regułę ostrą
Nie wiem już jak znoszę!..

KRONIKA.

Piszą do nas z Rzeszowa d. 3 Marca: «W dniu wczorajszym w hotelu pod Luft«maszyną widziano czterech jakichś obcych «jegomościów zajadających z apetytem zra«zy nelsońskie i obficie golących szampana. «Panowie ci zamknęli się później w nume«rze hotelowym i do poźnej nocy prowa«dzili gorącą dysputę. Od czasu do czasu «słychać było tylko urywane słowa jak: «dam ja jemu,» «wszystko do góry noga«mi,» «vivat heca,» «razem młodzi przyja«ciele,» «precz z taktem» itd. W. dniu dzi«siejszym panowie ci rozjechali się: dwóch «pojechało w stronę Krakowa, dwóch zaś «ku Lwowu. Tajemnicze te postacie, silną «w mieście wzbudziły ciekawość. Zauważo«no, iż jeden z nich miał w tylnej kieszeni «surduta instrument używany z powodze«niem w pewnych dolegliwościach ciała, da«jących się spotykać najczęściej po Stach «Wielkanocnych, drugi zaś ze szczególnem «upodobaniem przyglądał się pawilonikom «ozdabiającym podwórca domów rzeszow«skich. Przy pożegnaniu na kolei zawołali: «dobra nasza» i długo pozostawali w swych «objęciach. Obserwator pawiloników zawo«łał jeszcze w chwili ruszania pociągu kra«kowskiego: «do widzenia drogi Fauście».»

Trudno byłoby zadowolić ciekawość rzeszowian: kto ich odwiedził i wśród nich spiskował, gdyby nie pewne poszlaki naprowadzające na drogę uzasadnionych domysłów. Oto dnia poprzedniego otrzymała redakcja «Przeglądu» wiadomość telegraficzną z Przemyśla, iż pociągiem rannym zdążającym ku Krakowu przejechał przez Przemyśl dr. Ciesielski. Ajent zaś nasz we Lwowie pod tą samą datą doniósł nam o zaniepokojeniu Lwowian z powodu nagłego zniknięcia prof. Jaegermana. Pawiloniki wspomniane w naszej korespondencji rzeszowskiej ważną w tej kombinacji faktów odegrać mogą rolę.

Kto jednak byli dwaj mężowie z Krakowa trudniej się dorozumieć. Mieszka wprawdzie w naszem mieście pan Faust, księgarz na Kazimierzu, ale ten o ile nam wiadomo, w dniu, o którym mowa, znajdował się w Krakowie. Mąż ten wreszcie polityką i sprawami społecznemi się nie zajmuje i ubiera się w szaty kroju tradycyjnego. Wzmianka o «instrumencie» mówi o fachu jednej z tajemniczych postaci, ale nazwiska nie wyjawia. I wogole cały ten fakt byłby mgłą pokryty, gdyby nie znaleziony w wagonie szczątek autografu nadesłany mi łaskawie do zużytkowania. Podaję go w dosłownem brzmieniu:

.... «aby wrzeszczeć. Skutek zawsze «będzie nie dziś to jutro. Niema się z tych «pociechy, niech nas wezmą tamci. Alles «Wurst.

«Ktokolwiek bądź mówi, choćby mąż za«służony, choćby starzec, jeżeli ci się nie «podoba szurgaj nogami, prowadź głośno «rozmowę, przerywaj śmiechem, kichaj, a na«wet gwizdaj, jeżeli posiadasz odpowiedni

Czyż ja mam czas zastępować
Miejsce guwernantki?..
Przecież muszę domalować
Te moje Bachantki!..
Ach, Bachusa jakie skady,
Jaka noga, ręka!..
Żadnej wady!.. Bo ja wady
Poznam, choć panienka!..
Sztuki piękne — to jest rzecz!..
Z guwernantką precz!..
Wstręt mię bierze... precz!..

Mama mówi: „tyś za młoda —
„Nie wiesz, co zamężcie...“
Tak!!.. Ta staroświecka moda —
Nie trwa już na szczęście!..
Dzisiaj panna, gdy szesnasta
Wiosna jej się zacznie,—
Już nie dziecko jest — i basta...
Trzeba z nią być bacznie!..
Proszę tak nie mówić ze mną,
Bo mama zastęka, —
Taką sztuczkę nieprzyjemną
Spłata jej panienka!..
Tak się nudzić — głupia rzecz!..
Powiem nudom: precz!..
Dość mi nudów... precz!..

Z Beranger'a **L. Kozłowski.**

CESARSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
I METRYKA LITEWSKA W PETERSBURGU

Dokończenie.

Księgi metryki mają kilka opisów ogólnych, które pozwalają pracującym odnaleźć z łatwością dokumenta, odnoszące się do pewnego czasu i wiadomej kwestji. Naprzod na początku kazdej księgi znajdujemy regesta dokumentów, znajdujących się w niej, pisane po polsku i po rusku. Regesta ruskie zrobione jednocześnie z przepisem ksiąg metrycznych w wieku XVI., za kanclerstwa Leona Sapiehy, polskie są tylko transkrypcją literami łacińskiemi starych regestów i pochodzą z czasów Naruszewicza. Opisy te, po większej części wykonane dobrze i gdyby tylko dodać chronologję mogłyby być zupełnie wystarczające. Dalej metryka ma bardzo cenny katalog, sporządzony przez komisję z roku 1765. Oryginał tego katalogu w 16 tomach, dotychczas się przechowuje w bibliotece głównego Sztabu w Petersburgu. Na początku bieżącego stulecia zrobiono z niego kopję także w 16 tomach. Jest to wypis regestrow, znajdujących się w każdej księdze, z ksiąg zapisowych i sądowych. Obecnie niema 2-go tomu kopij regestów ksiąg sądowych. Tradycja chce, że pewna rodzina litewska, domagając się tytułu książęcego wkleiła do księgi zapisowej dokument sfałszowany na miejsce rzeczywistego, a że on był zapisany w regestach, więc wycofano ten tom z metryki. Defraudacja nie przyniosła pożądanej korzyści, gdyż oryginał regestów jest w Sztabie głównym. Było to przed rewizją metryki w r. 1836.

Oprócz tego metryka posiada kilka regestów późniejszych. Wykaz szczegółowy ksiąg metryki koronnej i litewskiej, sporządzony w roku 1817 przez Anastasiewicza, wydrukowany u Daniłowicza (Posolskaja Kniga s. 327 ssqu.); Skorowidz alfabetyczny do ksiąg metryki koronnej sporządzony w r. 1839, 2 t. Skorowidz alfabetyczny do ksiąg publicznych Nr. Nr. 18, 21, 23, 30, 33 i 34. Opis ksiąg metryki litewskiej lustracyi; Opis lustracyi i inwentarzów.

* * *

Osobny oddział zajmują w metryce «oddzielne dokumenta,» które nie weszły w skład ksiąg metrycznych i są po większej części autentykami. Większa część aktów tego rodzaju wydana w imieniu królów polskich i blisko 35 własnorecznie podpisanych. Znajdujemy tu: potwierdzenie praw i przywilejów, wydawane przez krolów przy wstąpieniu na tron; akta, w których krolowie zobowiązują się spełniać postanowienia sejmowe; akta założenia miast i osad, nadania prawa magdeburskiego, lub potwierdzenia już nadanego donacje dóbr itd. Jest także kilka dyplomatów Bony, jeden cesarza Karola IV. jeden Ferdynanda II, papieża Bonifacego IX, soboru Bazylejskiego. Przechowała się umowa przedślubna z dnia 9 Sierpnia 1637 r. pomiędzy pełnomocnikami cesarza Ferdynanda III. i posłami króla Władysława IV o zaślubinach Cecylji Renaty z królem, podpisana przez biskupa wiedeńskiego Antoniego, arcyksięcia Maksymiljana i vice-kanclerza, przy niej 3 pieczęcie: Potwierdzenie tej umowy przez cesarza dnia 10 sierpnia tegoż roku z podpisem cesarskim i kanclerza i pieczęcią cesarską. Oba akty pisan na kilku arkuszach pargaminowych i oprawne w piękny aksamit czerwony. Wszystkie te akta pisane są przeważnie na jednym arkuszu pargaminowym z wyjątkiem: 2 aktow (umowa przedślubna Władysława IV. i potwierdzenie takowej przez Ferdynanda III.), ktore stanowią zeszyt, 1-go aktu litewskiego pisanego na 4 arkuszach pargaminowych, oprawionych w skórę; 14 pisanych na kilku papierowych arkuszach i 9 papierowych zeszytów, oprawnych w pargamin, odnoszących się do spraw in-

---

talent. Sykanie za mały sprawia efekt, zwła-«szcza w pojedynkę. Dobrze jest także za-«trąbić za pomocą pięści w kułak ściśniętej. «(NB. Ten punkt nie został przyjęty jedno-«myślnie, gdyż Cies. stanowczo oświadczył «się za sykaniem, nie uważając tego sposobu za przestarzały).

«Przy czytaniu najlepiej przeszkadzać «krzykiem, wołając: «Precz z tem piśmidłem« «albo: «nie potrzeba korespondencyjek.» Do «głosu zapisywać się nie warto, najlepiej mó-«wić bez pozwolenia. Zanim ci głos odbiorą, «sprawisz już swoje.

«Robiąc borbę wspominaj zawsze odwa-«gę obywatelską, dając do zrozumienia, żeś «tej rośliny najpiękniejszym kwiatem.....

(W tem miejscu kawałek autografu wydarty.

....., trwa do lipca 1900 roku. W razie «śmierci jednego ze wspólników pozostali «trzej dobierają sobie czwartego, naturalnie «po lwowiaku lwowiaka, po krakowianinie «krakowianina.

«§. 4. Szkołami wyższej tressury jako dy-«rektorzy zarządzają wspólnicy.

«§. 5. Nauka rozdzielać się będzie na trzy «części:

«a) Dzieje i zasady borby ze szczególnem «uwzględnieniem stosunków miejscowych;

«b) Klasyfikacja borby, jej przejawy i od-«cienia;

c) Wykład praktyczny borby a la minu-«te, borby obmyślanej, borby pour passer «le temps, borby o skali niskiej, średniej, «wyższej i najwyższej, w połączeniu z wy-«kładem teorji wymyślania i gębo-nożno-ręc-«cznych objawów niezadowolenia.

§. 6. Każdy wspólnik obowiązanym jest zawiadomić resztę wspólników o każdym nowo-wynalezionym przez niego sposobie zakłócania spokoju obrad.

«§. 7. W razie powiększenia się liczby «zwolenników można utworzyć filje, każda «z nich jednak zostawać ma pod......»

Na tem kończy się autograf, składający się jak widzimy z dwoch części. Część druga jest rodzajem umowy, część pierwsza programem stowarzyszonych. Podając go do publicznej wiadomości mam nadzieję, że dostarczone przezemnie wskazówki doprowadzą do celu, to jest do odkrycia tajemniczych osobistości, które pobytem swym Rzeszów zaniepokoiły.

W ogóle tajemnic nie brak. Tajemnicą zapewne pozostanie dlaczego «Czas» podający szczegółowe sprawozdania z redut krakowskich, na które się zbierają same prawie szumowiny społeczeństwa, nie raczył

flanckich. Najstarsze akta pochodzą z roku 1239 i tyczą się Inflant, ich się tyczy i dokument z r. 1282 potwierdzający nadanie księcia Meklemburgskiego Borywina z r. 1224. Komisja z r. 1836 opisując ten dokument przetłumaczyła dux Magni polensis przez Wielikopolskij pomieszczik. Najwięcej aktów z wieku XV. (217) i XVI. (129). Wszystkiego w tej grupie 395 dokumentów.

Najdroższym klejnotem tego oddziału metryki litewskiej jest *Akt unji lubelskiej*, wydany przez Litwinów Polakom. O tym akcie tyle pisano, a nikt z piszących nie widział go na własne oczy. Ztąd powstały o nim najrozmaitsze wieści. Najpierwsza wiadomość, jaką mogliśmy znaleźć pochodzi od Dubińskiego, który przedrukował go w Zbiorze Praw (s. 121); za nim Wójcicki podał, jak powiada, według rękopisu Archiwum Nieświeżskiego, skrócony tekst (Bibl. Star. Pis. IV. 225); nareszcie Daniłowicz w Skarbcu (330—334) przedrukował go w całości według kopji późniejszej Biblioteki Publicznej (F. IV. 21), przyczem dodał, ze słów Wójcickiego, że oryginał jest w metryce i opatrzony 106 pieczęciami. Te trzy teksty różnią się bardzo między sobą i nie są zupełnie zgodne z oryginałem metryki. Przytem tekst Dubińskiego i Wójcickiego zawiera bardzo wiele opuszczeń. W metryce Akt unji dochował się bardzo dobrze. Jest to wielki arkusz pargaminowy, 71 cnt. szeroki i 53 długi, mieści się na 60 wierszach, pisany piękną kursywą, podpisów niema, pieczęci 75 i przy trzech zielonych na tymże sznurku podwieszono po jednej małej, białej, herby górnej i dolnej pieczęci są różne, tak że razem 78 pieczęci. Osób zaś wymieniono 75, z nich 3 w zastępstwie. Co mają oznaczać 3 białe pieczęcie nie podejmujemy się tu rozstrzygać. Bardzo być może, że 3 zbywające pieczęcie należą do osób, działających w zastępstwie. Możemy jednak tu stanowczo twierdzić, że pieczęcie dochowały się do naszych czasów wszystkie, więcej ich przy akcie unji z metryki nie było stanowczo. Wiadomość Wojcickiego, powtórzoną przez późniejszych, o 106 pieczęciach dotychczas jeszcze niesprawdzona, a warto byłoby zająć się tą kwestją w obec tego, że tekst Wojcickiego różni się w pisowni od innych i od oryginału Metryki nawet pisownią. Wojcicki starał się zachować pisownię oryginału, z którego korzystał. Warto byłoby, aby się kto zajął wyszukaniem tekstu nieświeżskiego, z którego przedrukował Wojcicki. W obec tak pogmatwanych wydań wielką ma wartość świeżo wydrukowany 1-szy zeszyt pracy niedawno zmarłego Metrykanta ś. p. L. Zelwerowicza, zawierający dyplomatycznie wierny przedruk Aktu.

Wiele pargaminów przeszło do Biblioteki Publicznej, a metryka posiada tylko spis tego p. t. «Opiś diełam w kartonach, sostawlennaja w 1808 godu, kakija ostawleny w metrikie i kakija wydany w Imperatorskuju Publicznuju Bibliotieku pod rospisku Dubrowskago.»

W metryce przechowują się genealogije kilku rodzin i kilka map. Genealogije—Andrzeja Bohla, aktykowana w Genewie 1763 roku, hrabiów Palfych, aktykowana w Wiedniu w kancelarji węgierskiej r. 1775; Patent na tytuł hrabiowski Cesarza Ferdynan-II. de Reviere'owi na 6 arkuszach pargaminowych; z polskich rodzin: Rocha Jabłonowskiego, Szaniawskich, Prażmowskich, Sobolewskich, Kuropatnickich, Mik. Stadnickiego, Stan. Chłapowskiego, Aleksandra Romera, Andrzeja Dombrowskiego, Tadeusza Łopacińskiego, Małachowskich, Antoniego Ponińskiego, Piotra Ożarowskiego i kilku innych. 11 map z lat 1781—1785 z oznaczeniem granic pomiędzy Polską, Ukrainą i Noworossją, z nich 2—7 podpisane przez członków Rady Nieustającej, reszta przez polskich i rossyjskich inżynierów. Jedna mapa z r. 1785, określająca granice pomiędzy Polską a Galicją na podstawie konwencji z dnia 9 Lutego 1776 roku, zawartej między rządem Rzeczypospolitej a cesarzem austrjackim i plan Wisły z r. 1872.

Nareszcie metryka posiada tłok pieczęci majestatycznej Jana III.

* * *

Już z tego dorywczego przeglądu metryki litewskiej można łatwo pojąć, jak cenny materjał historyczny przechowuje się w niewielkiej izdebce senatu. To też uczeni polscy, rosyjscy i za granicznі wiedzą o tem, choć bardzo pobieżnie. Z uczonych rossyjskich najwięcej korzystał z metryki, w czasach dawniejszych, historyk p. Kostomarow (*Poslednije gody Rieczipospolitoj*). Z niemców — Bunge (Kodeks Inflancki), Caro (Historja Polski), a nawet Towarzystwo Meklemburgskie wydało dokument Rugjański, znajdujący się w metryce. W różnych czasopismach tu i ówdzie zjawiają się od czasu do czasu dorywcze dokumenta. Tak np. «Ruskaja Starina» (1878 roku) wydrukowała cenne dokumenta historyczne z wieku XVI. odnoszące się do rodziny Despotów Zenowiczów. Niedawno zjawiły się dwa bardzo ważne wydawnictwa, z których jedno zawiera dokumenta, wzięte przeważnie z metryki, a drugie w części. Pierwsza praca jest owocem kilkoletnich trudów prof. Bierszadzkiego, zawierająca akta, tyczące się żydów; druga, dra A. Prochaski, «Kodeks listów Witołdowych.» W roku bieżącym Akademja Krakowska wydała cenną rozprawę p. J. Wolfa «O kniaziach Kobryńskich,» osnutą przeważnie na troskliwie zebranych dokumentach z Metryki. Praca ta, chociaż na pozór niewielka, zawiera w sobie ogromny materjał przestudjowany i zebrany przez autora. Słyszeliśmy, ze profesor Bierszadzki ma dokumentów odpisanych z metryki jeszcze nie na jeden tom, że p. Hiltebrant gotuje Kodeks Inflancki.

Według kopij warszawskich było także kilka wydawnictw,

---

podać sprawozdania z pięknego balu kostjumowego «Koła literacko-artystycznego.» Bal ten będący prawdziwą koroną zabaw ubiegiego karnawału powiódłby się jeszcze lepiej, gdyby wszystkie zgłoszone kostjumy dopisały. Pomijając już, że nie stawili się Dr. Jakubowski i Jordan ucharakteryzowani za prof. Ciesielskiego i Jaegermana, uczynili jeszcze zawod: prof. Smolka (ucharakteryzowany za dojrzałego polityka), Dr. Domański (w kostiumie z koców moczonych) p. Biasion (jako Hawełka, poseł Romanowicz (stańczyk), p. Mien (w kostiumie mecenasa sztuki), poseł Chrzanowski (Longinus Podbipięta z powieści «Ogniem i mieczem»), p. Bartoszewicz (jako «Perła humoru polskiego»), i wielu innych mniej lub więcej znakomitych mężów.

Tajemnicą jest również dlaczego p. Smolka rozgniewał się na «Czytelnię akademicką» i dlaczego N. Reforma z Gaz. krakowską łzy nad tą instytucją wylewała. Bo że Uniwersytet zrzekł się kuratorstwa, nie widzę w tem nic dla czytelni strasznego, owszem znając dobrze te stosunki sądzę, że jej będzie lepiej mieć jednego pana niż dwóch panów, bo i tak policja z obowiązku czuwa nad wszystkiemi stowarzyszeniami. Z pewnością zaś policja nie zabroniłaby przemówić młodzieży nad grobami Skobla i Dietla, jak to za kuratorstwa uniwersytetu się działo. Prostem następstwem podobnego traktowania najspokojniejszej, jaka być mogła pod słońcem, młodzieży, było to, że ta w końcu opor stawiła i poszła w skrajnie przeciwnym kierunku, niż ten jaki jej wskazywano. Ztąd nauka: nie dmuchaj na iskierkę, bo jej nie zagasisz, a ogień łatwo wzbudzić możesz.

Na zakończenie podam podsłuchaną rozmowę jakiegoś obcego z ciceronem żydowskim na rynku:

— Komu to się kłaniałeś?

— Ny, to jest bardzo mądry pan, jego każdy szanuje i mu kłania.....

— A jak się nazywa?

— On sobie nazywa pan Asmyk.....

— A cóż on jest za jeden?

— On jest sobie taki, jakby powiedziecz? — on jest sobie taki..... męzki Deotyme.....

Co to znaczy popularność imienia wieszczki!

K. B.

Muchanowa (*Sbornik*), p. Jabłonowskiego (w Źródłach Dziejowych) i p. Puławskiego (Stosunki z Mendli-Girejem).

Opisu metryki wyczerpującego dotąd niema. Najlepszym jest jednak opis, znajdujący się u Daniłowicza (*Posolskaja Kniga)*. Wydawnictwo Daniłowicza ma tem większą wartość, że w dodatkach zawiera przedruk kilku dawniejszych rejestrów. Wzmianka o metryce prof. Bierszadzkiego jest zanadto pobieżną, szan. professor, o ile nam wiadomo, posiada obszerny materjał do dziejów metryki i jej opisu; tuszymy sobie, że czas pozwoli mu wydać obszerną pracę, objaśniającą nietylko metrykę ale i Archiwum wileńskie. Opis starych pargaminowych aktów przygotował ś. p. metrykant L. Zelwerowicz, życzyć wypada, aby ta praca ujrzała światło dzienne w jak najprędszym czasie. Jesteśmy przekonani, że długoletnia praca ś. p. Z. nie powinna zmarnieć i pozostać w ukryciu. Byłaby to wielka krzywda dla nauki i dla nieboszczyka, gdyby nikt się nie znalazł, coby dał możność rodzinie ogłoszenia tej pośmiertnej spuścizny. Korzystanie ze skarbów metryki jest nieco utrudnionem. Metryka nie jest archiwum publicznem, a specjalnem 3go Departamentu Senatu. Dokumenta metryki *mogą* i teraz mieć znaczenie prawne i metryka wydaje kopje urzędowe, za opłatą 6 rs., które mogą służyć do celów praktycznych, nie tylko naukowych. Z obawy więc różnego rodzaju defraudacji, dostęp do metryki i korzystanie z niej są utrudnione (np. nie wolno używać przy wypisywaniu atramentu— z obawy, aby nie porobiono nadużyć, jak zakasowania, zalania, dopisania itd.). Korzystanie w obecnej chwili dozwolonem jest tylko na mocy upoważnienia ministra sprawiedliwości i to po poprzedniem porozumieniu się z prokuratorem III. departamentu senatu, czy osoba prosząca niema jakiej sprawy w senacie. Po dokonaniu tych formalności, każdy może korzystać z metryki.

NIEWIDOMA MATKA.

(„La meère aveugle“)

Lizo! Do roboty!..
Siadaj niedaleko
I zaczynaj szyć
Co? Nie masz ochoty?
Smutnie chwile cieką,
Gdy pracy być?..
Tobie się uśmiecha —
Wiem — ten jakiś młody
Co ma ładny głos?..
Wielka mi pociecha!..
Z piosnek i urody
Nie dla ciebie los!..
Kiedy skromnie czeka,
Modli się panienka, —
Znajdzie męża, wierz!..
Cóż to?.. Muszka szczeka
Tam gdzieś, do okienka?..
Cicho, muszko, leż!..
Pewno on tam chodzi?..
O, — nic mi nie skryjesz,
Choć jak chcesz, tak kryj:
Znam was dobrze, młodzi!..
Lizo!.. ty nie szyjesz?..
Ejże, Lizo, szyj!..

Otwarłaś okienko?..
Cóż to?.. Czy gorąco
Stało ci się tak?..
E! moja panienko!..
Słyszę piosnkę brzmiącą,
To niedobry znak!..
Czego się poruszasz?..
Pewno robisz jemu
Słodkie oczy już...
Lizo! Ty mię zmuszasz,
Że już powiem, czemu
Tych miłosnych burz
Wzdragam się i boję...
Słuchaj, dziecko moje:
Dawnych to już lat
I ja byłam młoda...
A wiesz... krew nie woda...
Człek pokusie rad...
Bieda z tym amorem,
Jak się raz z nim zżyjesz, —
O nim tylko śnij...
Cóż to? Drzwi otworem?
Lizo! Ty nie szyjesz?..
Ejże, Lizo, szyj!..

Kłamiesz, moja duszko,
Że drzwi wiatr otworzył,
A nie żaden gość...
Czy też i przed Muszką
Kostkę wiatr położył?...
Bo jak gryzie kość!..
Prawda, że wiatr wieje...
Ale w waszych głowach,
Pustych, że aż pfe!..
Cóż się panna śmieje?..
Czyliż w matki słowach
Złe nauki?.. Złe?..
Córko! Drogą skrytą
Zajdziesz niedaleko
I powrócisz znów...
Ale wrócisz zmytą,
Bo ci łzy pocieką!..
Słuchaj matki słów:
Gorzkie to frasunki —
Wstydu nie ukryjesz,
Choć jak chcesz, tak kryj...
Gwałtu!!.. Pocałunki!!..
Lizo! Ty nie szyjesz!!..
Ejże, Lizo, szyj!..

Pleciesz mi tam duby,
Że gołąbka swego
Całowałaś tak...
Luby gołąb, luby!..
Słodka buzia jego —
Lecz zdradliwy ptak!..
O, — to sprawa krucha!..
Teraz go całujesz:
Miła rzecz — ja wiem...
Ale ci zagrucha
Tak, że pożałujesz...
A czy wiesz ty, czem?
Śmiechem, moja droga!..
Bo to tacy oni:
Dla nich to jest śmiech,
Kiedy już nieboga
Łzy niewczesne roni,
Że i wstyd i grzech!..
Zwykłe to koncepty...
Mało jeszcze żyjesz,
Nie znasz więc tych żmij!..
Cóż to?.. Słyszę szepty!..
Lizo!.. Ty nie szyjesz!..
Ejże, Lizo, szyj!..

Znowu się wykręca,
Że poezje czyta,
A więc szepce tam...
Ta poezya — znęca:
Do niej lgnie kobiéta...
Znam się na tem, znam!..

Te poezye lube
Głowę bałamucą,
Sypią wianki róż...
Ale to — na zgubę:
Gdy gruchanie skrócą,
To po wszystkiem już!..
Troska w głowie siędzie...
Serce ściśnie smutek...
Straszno spojrzeć w dal...
Tak i z tobą będzie:
Złego — jeden skutek!..
A mnie — ciebie żal!..
A więc: pójdź tu, Muszko!..
Już podarek zjadłaś?..
Huż, na gościa! tnij!..
A ty, moja duszko,
Siadaj przy mnie!.. Siadłaś?..
A więc siedź i szyj!..

Z Berangera, **L. Kozłowski.**

Z MIŁOŚCI.

BALLADA, JAKICH WIELE.

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

Ciąg dalszy.

Wieczorem płonęły beczki z smołą, pochodnie sypały iskrami, ognie bengalskie rzucały różnokolorowe blaski na lód. Grzmiała kapela, strzelały korki od butelek z winem szampańskiem, a całe miasto wyległo na rzekę, pijane szaloną zabawą. Jak błyskawica przeminęła tu para łyżwiarzy, tam przewinęła się długa wstęga, posuwająca się wężem między tłumem ludzi. Utworzono poloneza, potem kontredansa, w końcu rozbiło się całe towarzystwo na pojedyncze gromadki.

Byliśmy bohaterami dnia. Kilkaset ócz, czarnych, niebieskich. szarych i zielonych, wyglądających z pod futrzanych czapek, biegło za nami. Dziewice małego miasteczka, przywykłe do widoku nudnych filistrów, zachwycały się inżenierami z stolicy. Zakłóciliśmy podobno spokój wielu rodzin na kilka tygodni, jak się później dowiedzieliśmy, a przecież posądzali nas donżuani na partykularzu i poważni małżonkowie niesłusznie o zamiary nieprawne, bo żadnemu z nas ani się śniło zdobywać serca niewieście. Butna młodzież chciała sobie pohulać; nic więcej. Dziś tu, jutro tam, nie mieliśmy nawet czasu do romansów. Jedyny Terenkoczy, stary wyga, udawał czasem na popasie zakochanego, aby po godzinie zapomnieć o przedmiocie swych afektów.

Bal na lodzie zabrał dwumiesięczne oszczędności całego oddziału. Wszystko, cośmy zapracowali w pocie czoła, nieraz z łzą w oku na Mazurach, poszło jednego wieczoru z dymem pochodni i z korkami butelek w powietrze.

— Albo nam to żona, albo nam to dzieci—mawiał Terenkoczy. Nie mamy dla kogo oszczędzać. Dają nam jeść, pić, wożą nas darmo, a trzeba się pieniędzy jaką drogą pozbyć, aby zrobić miejsce dla nowej pensji.

I robiliśmy miejsce, zgadzając się zupełnie ze zdaniem dowódzcy.

Innym razem zachciało się Terenkoczemu szlichtady. Jedziemy w kilkadziesiąt sanek rzeką Angerapp do najbliższego miasteczka. Pod nami lśni, tętni szklisty lód, nad nami marzy wysoko błękitne, przejrzyste niebo, miljonem roziskrzone gwiazd. Konie, dobrze kute, pomykają jak czajki, dzwonki brzęczą, goście śpiewają.

Jakaś niemeczka siedzi obok mnie, bogatem otulona futrem i mówi cos cichym głosem. Ale ja nie słyszę nic. Z odsuniętą na tył głowy czapką, oparty na wysłaniu sanek, patrzę w niebo, ciche, tajemnicze, jakby uśmiechnięte. Zdaje mi się, że te powiewne błękity szepczą coś do mnie, że słyszę ich głos, że rozumiem ich słowa. W głębi serca mego rusza się cóś, w mózgu pokutuje jakaś myśl. Pókiż tego będzie?..

Póki? ktoby pytał o jutro, ktoby myślał o przyszłości, gdy liczy dwadzieścia kilka lat życia?

Potarłem czoło dłonią i zacząłem rozmawiać z towarzyszką. Tańczyłem z nią potem przez cały wieczór, a ludzie mówili, że się rozkochałem. W kim? Nie wiem dziś nawet jak wyglądała.

Nie lubiłem nigdy niemek. Każda z nich, choćby najzamożniejszych rodziców córa, trąciła mi kuchnią, mąką, pomyjami. Widywałem hrabianki i baronówny germańskie przy gospodarstwie, a to zajęcie pospolite wydawało mi się wówczas bezczeszczeniem godności niewieściej. Byłem przecież polakiem. Matka moja, choć nie posiadała znacznej fortuny, choć żyła z pracy ojca, a później z jego szczupłych oszczędności, przesiadywała w salonie z książką w ręku lub przy fortepianie, czytając i grając. Dom, pozostawiony na łasce służby, szedł sobie jak tylko chciał, bo pani nie mięszała się wcale do spraw «powszednich.» Od czego kucharka i pokojówka?

A w Niemczech przepasywała się pani domu fartuchem i szła do kuchni, do obór, do chlewa, choćby rozkazów jej słuchał cały szereg służby. Dokonawszy pracy gospodarskiej, wracała do salonu, do gości, bawiąc ich rozmową wykwintną. Rzecz dziwna! Te wszystkie Lizy, Berty i Anchy znały bardzo dobrze literaturę swego kraju i narodów sąsiednich, czytały wiele, zdradzały każdem słowem gruntowne wykształcenie.

Jak one godzą te dwie sprzeczności? pytałem się nieraz sam siebie. Nie rozumiałem kobiety z towarzystwa, zeszpeconej fartuszkiem. A, fe: jak można...

Żadna z kuzynek moich nie byłaby się dotknęła garnka, aby sobie nie zniszczyć miękkich, bieluchnych łapek. A jednak nie posiadała żadna z nich ani dziesiątej części tego majątku, jakim rozporządzały żony zamożnych właścicieli niemieckich. Gdyby którakolwiek z nich była panią na kilku folwarkach, przepędzałaby z pewnością zimę w Nicei lub Neapolu, a lato w wagonie drogi żelaznej. A te niemki siedziały w domu, pilnowały dzieci, gospodarstwa, dusząc grosz niepotrzebnie.

Nie lubiłem nigdy niemek.

Jedna tylko przypadła mi do gustu. Była też to sobie kobieta, jakich mało. Młoda wdowa po bogatym baronie, mieszkająca w pięknym pałacu, żyła jako prawdziwa pani. Czytała, grała, śpiewała, jeździła czasem konno, nie wzięła do ręki ani igły, ani garnka, ani żadnej rzeczy, któraby, mogła zaszkodzić jej rączętom...

Ucieszyła się niezmiernie, gdy stanęliśmy u niej kwaterą. Nudziła się strasznie, pragnęła zmiany, przeto powitała nas nadzwyczaj gościnnie. Polowaliśmy z nią z chartami, jeździliśmy po sąsiedztwie, graliśmy w karty, bawiliśmy się wesoło, jak nigdy przedtem.

Było nam dobrze, lecz czas mijał, a straciliśmy już i tak kilka tygodni. Więc w drogę! Baronowa nie chciała nas puścić, kazała chować płaszcze, czapki, narzędzia inżenierskie. Na nic się to jednak nie przydało, bo z Berlina szły depesze pytające, dlaczego nie postępujemy w pracy. Wyrywamy się z objęć niezwykłej między niemcami gościnności, zabieramy się...

— Odwiozę panów sama do miasta — mówi baronowa, uśmiechając się filuternie.

Jedziemy, stajemy w hotelu; trzeba się napić na pożegnanie. I napiliśmy się, ale już tak gruntownie, że zapomnieliśmy

o bożym świecie. Przebudziwszy się nazajutrz około południa, spostrzegamy, ze znajdujemy się w pałacu baronowej. Cóż u licha? Mieliśmy dziś zacząć prace ku Wystruciowi? Cóż się z nami stało?

Stała się rzecz bardzo prosta. Baronowa spoiła nas do utraty przytomności, a gdy i Terenkoczy, szczycący się «najlepszą głową,» legł pod stołem, kazała nas służbie przenieść do sanek i zawiozła napowrót do siebie.

Cały powiat śmiał się z figla baronowej, a wieść o nim doszła aż do bióra centralnego.

Była to ostatnia przygoda weselsza. Odtąd wróciły czasy mazurskie, bo dalej na północ nie spotykaliśmy dworów szlacheckich. Począwszy od miasteczka Darkehmen ciągną się aż do Wystrucia kolonje chłopskie, czyste, zamożne, lecz nie znające gościnności. Po wygodnych łóżkach przyszły znów twarde posłania ze słomy, wystawne obiady zamieniły się na skromne biesiady, a i temperatura zaczęła w końcu marca kaprysić. Dziś proszył śnieg mokry, jutro ciął ostry jak szpilki, pojutrze rozwarły się niebiosa i lały na nas, jakby nas chciały potopić. Gliniasta gleba usuwała się z pod stóp, wicher rozwiewał płaszcze, zabierając nam czapki, źli ludzie wyrywali znów fanały, opóźniając ciągle mozolną pracę.

A nam spieszyło się bardzo. Mimo młodości, mimo zamiłowania w życiu koczowniczem, zaczęła nas ta włóczęga utrudzać. Byliśmy już półtora roku w polu, odbyliśmy kampanję ciężką, tęskniliśmy za kilkotygodniowym spokojem.

Wróciwszy w początkach maja do Berlina, poprosiliśmy wszyscy o urlop dwumiesięczny. Nie odmówiono nam zasłużonego wytchnienia, obdarzono nawet dość znacznemi gratyfikacjami, polecając wyjazd do wód. Rozbiegliśmy się po świecie, każdy w swoją stronę. Żegnając się, ściskaliśmy się serdecznie, jak towarzysze broni, opuszczający sztandar.

IV.

Niewymowny wdzięk i urok polek uczuwa się dopiero wtedy, gdy się przez dłuższy czas przebywało za granicą, zwłaszcza w Niemczech. Po płaskonogich, wielkorękich, niezgrabnych córach Germanji wydaje się każda sarmatka udzielną księżniczką, krolową, ideałem.

Jechałem z Berlina na Krzyż, udając się do wód szlązkich. W Krzyżu stoją pociągi zwykle całą godzinę. Siadam za stołem w restauracji, każę sobie podać wina i rozglądam się. W sali przechadza się jakaś kobieta, co mówię, płynie, posuwając się jak łabędź na drżących lekko wodach uciszonego jeziora. Każdy jej ruch, to muzyka, melodja, każdy zwrot głowy, to giest Racheli.

Tak mi się zdawało.

A to ubranie, jak ono na niej leży! Rzekłbyś, że zrosło się z ciałem. Każde piórko na kapeluszu, każda wstążeczka u sukni znajduje się na swojem miejscu. O najdrobniejszej drobnostce myślała widocznie właścicielka tej tualety.

— To musi być polka — mówię do siebie, a serce me skacze w klatce piersiowej, jak gdyby chciało wylecieć do niej, do rodaczki, do siostry.

Wracałem przecież z obczyzny.

Ona odwraca głowę — nie omyliłem się, to polka, to pani Ł., dawna znajoma, przyjaciółka moich kuzynek.

Zrywam się, przypadam do niej, chwytam jej małe rączęta i przyciskam do ust. Oczy moje błyszczą radośnie, a twarz płonie. Ściskałem część kraju mojego, odrobinę rodzinnej ziemi mojej.

Pani Ł. nie rozumie zachwytu włóczęgi, więc dziwi się spoglądała na mnie z trwogą.

— Cóż się panu stało, panie Zygmuncie, zkąd się pan tak nagle wziął? — pyta, a mnie się zdaje, że słyszę śpiew słowika.

— Zkąd? Ze świata, z nad Bałtyku. Co mi jest? Nic mi nie jest, ujrzałem tylko po dwóch latach polkę.

Pani Ł. uśmiechnęła się teraz przyjaźnie.

— A w którą stronę zmierzasz obecnie, panie Zygmuncie? — spytała po chwili.

— Jadę do Warmbrunn, odpocząć, leczyć się, żyć przez kilka miesięcy jak królik, jak zając w trawie.

— Nie zazdroszczę panu, bo Warmbrunn jest jedną z najnudniejszych miejscowości kąpielowych. Co do mnie, ruszam do Wiesbaden; tam gwarniej, ludniej, weselej.

Konduktor wzywał do wsiadania; pożegnaliśmy się.

W kilka dni potem jechałem z Wrocławia do Hirszbergu.

Mając jako inżenier rządowy wolny przejazd na drogach żelaznych, wsiadłem do wagonu pierwszej klasy z zamiarem przespania się po wesołej hulance, od której się nie mogłem wymówić, spotkawszy w stolicy Szląska dawnych kolegów z ław szkolnych.

Juz miał konduktor zatrzasnąć drzwiczki, kiedy do powozu weszły jeszcze dwie panie. Starsza, otyła jejmość, z wyrazem dobroci na szerokiej, tłuszczem powiększonej twarzy, młodsza...

Ach, młodsza! Gdy wskoczyła do mojego przedziału, lekko jak sarenka, a potem, usiadłszy w kąciku przy oknie, obejrzała się po wagonie wielkiemi, piwnemi oczami, zapomniałem odrazu o potrzebie snu. Obrzuciła mnie przelotnie garścią promieni słonecznych, potem zapuściła do połowy powieki na źrenice, wyzierające z pod długich, jedwabistych rzęs, jak dwie dalekie i rozjskrzone gwiazdeczki.

Krew biegła mi do serca, uczułem, jakby chwilowe omdlenie; jakieś dziwne, nieznane mi dotąd ciepło rozgrzało mi całe ciało, rozlewając się wolno po wszystkich członkach, aż ześrodkowało się pod czaszką, w mózgu, kipiąc tam i gotując się razem.

Oparłem głowę na poduszkach; czekałem. Po chwili przeminęło.

Co? nie wiedziałem. Czułem tylko, że miłe a równocześnie nieprzyjemne, bo odurzające ciepło ze mnie ustępuje, że przytomnieję znów, że stygnę.

Zwracam wzrok mój ostrożnie w stronę młodej towarzyszki podróży i widzę, że patrzy przez szyby na łany, rozkołysane dojrzewającem zbożem, na drzewa i słupy telegraficzne, przebiegające jak linje matematyczne po obu stronach spieszącego pociągu. Z oczu jej, rozwartych teraz szeroko, zdaje się wysnuwać długi promien, tak długi, jak myśl tęsknoty. Pomknął tam, daleko, aż do owych ciemno-błękitnych olbrzymów, rysujących się na nieboskłonie. To przednie straże gór szlązkich, to Sobótka, Geiersberg i Eulenberg. Wychylają się na samym skraju widnokręgu, zdaje się, że na barkach ich spoczywa sklepienie, ciche, złociste, oblane żarami słońca czerwcowego.

Dziewczyna spogląda na lśniące góry nieruchomem okiem, a ja zawisam całym sobą, wszystką myslą, na jej białem obliczu, pokrytem brzoskwiniowym puszkiem młodości. Jej drobne, rumiane usteczka złożyły się do smętnego uśmiechu, a kilka strzępków bujnego, jasno-bląd włosa spadały na proste, gładkie czoło. Postaci, owiniętej w jasną, pikową sukienkę, rzuconej niedbale na aksamitne wysłanie wagonu, mogłaby jej Junona pozazdrość.

Nie bawiłem się dotąd nigdy w miłostki. W gimnazjach pruskich niema nikt czasu do zawięzywania stosunków z pensyonarkami, do romansowania z kuzynkami. W akademji inżenierów musieliśmy także pracować od świtu do nocy, iż się żadnemu z nas nie chciało dziecinnej zabawy. Wyrwawszy się z sali szkol-

nej, przenosiłem towarzystwo kolegów, wino, zielony stolik, konie, ogary, hulanki przeróżne nad obłudę i frazelogię salonów. Byłem młodym, wolałem szczerość swobody, niż kłamstwo fraka i sukni balowej. Zresztą, nie było się nawet w kim rozkochać. Berty, Lizy i Anchy, ktoą nam usługiwały w garkuchniach studenckich, nie mogły nikogo oczarować, a Berty, Lizy i Anchy wyższych sfer niemieckich odpychały mnie swą praktycznością.

Kobieta była dla mnie sfinksem, zagadką, znakiem zapytania. Nie znałem jej wcale, a jeźli myślałem kiedykolwiek o niej, to tylko głową, raczej wyobraźnią powieściopisarzów.

Dlatego nie mogłem sobie zdać sprawy z uczucia, jakie mną owładnęło, kiedy się wpatrywałem w twarz nieznajomej. Pociągało mnie w niej wszystko: bogaty, jasny włos, piwne w tej chwili rozmarzone oczy, nosek prosty, malutka buzia, dołeczki w różowych policzkach, wdzięk w brodzie, ramiona, spływające od szyi łagodnie zaokrągloną linją, biała rączka, malutka nóżka, tkwiąca w buciku francuzkim, wyglądająca z pod sukienki, a nawet ta sukienka, ten kapelusz słomkowy, ubrany w błękitną wstęgę — wszystko, wszystko.

Jakaś nieprzezwyciężona siła pchała mnie do tej dziewczyny. Zdawało mi się, że powinienem ją objąć i całować bez końca Drgał we mnie każdy nerw, każda kropla krwi.

A ona? Ona odwróciła się nareszcie, musnęła swym wzrokiem i wyrzekła po polsku:

— Mamo, tak mi gorąco!

Polka? chciałem krzyknąć z radości, ale z mego gardła nie wydobył się najlżejszy szelest.

Zerwałem się, otworzyłem okno.

— *Ich danke er gebenst mein Herr!* — podziękowała otyła jejmość, nazwana matką.

— O, proszę, bardzo proszę — bąknąłem.

— Polak? Pan Polak?

Zawiązała się się oczywiście natychmiast rozmowa, z której się panie dowiedziały po kwadransie: kim jestem, jak się zowię, co porabiam, dokąd dążę. Wyrzuciłem z siebie w kilkanaście minut całą biografię, jak wszyscy Polacy, spotykający rodaka za granicą.

Wykazało się nawet, że pani znała mego ojca, moją rodzinę. Nic dziwnego, że byliśmy po drugim kwadransie dobrymi przyjaciółmi, tym więcej, że zmierzaliśmy w tę samą stronę. I pani Rokitnicka bowiem jechała do Warmbrunn, na kurację, a panna towarzyszyła matce.

Nie trudno się domyślić, że mi ta wiadomość sprawiła wielką przyjemność.

V.

Po raz pierwszy od lat dwóch przepędziłem noc bezsenną. Jako student przetrwałem bardzo często przy lampie nad książkami i rysunkami do samego rana, lecz w polnej służbie inżenierskiej sypiałem zawsze kamiennym snem nadmiernego zmęczenia cielesnego.

Stanąwszy w Warmbrunn, w hotelu, rozebrałem się wprawdzie około północy i wsunąłem się pod kołdrę, a nawet zacisnąłem powieki bardzo szczelnie, lecz czekałem daremnie na «słodkie zapomnienie» w objęciach Morfeusza.

Zamiast ciemności, ogarniała mnie łuna różnobarwnych świateł, zaczynających się drobnym punktem zielonym, czerwonym, lub żółtym, a rosnących szybko do rozmiarów tęczy. Po chwili skupiały się znów blaski, topniejąc, gęstniejąc, układając się w jakąś postać, zrazu niewyraźną, zarysowującą się jednak z każdą sekundą wybitniej, ostrzej, aż z chaosu barw, linij i konturów wystąpiła nasamprzód jasna główka, ożywiona parą wielkich, piwnych oczu, potem przepiękny biust, w końcu biała sukienka z niebieskiemi wstążeczkami, kapelusz, rączka i bucik.

To ona! Ilekroć odmykałem ostrożnie powieki, złudzony odbiciem własnej wyobraźni, rozpływała mi się postać bez śladu. Gdy jednak znów oczy zamknąłem, powtarzało się to samo złudzenie optyczno-psychologiczne.

Przekonawczy się bezwiednie, na drodze prostego eksperymentu, że świadomość płoszy powiewną dziewczynę, leżałem odtąd nieruchomy, wyciągnięty, sztywny.

Jak długo wytrwałem w tym błogim stanie, nie wiem. Pamiętam tylko, że mi ten sam na jawie sprawiał niewysłowioną roskosz. Nie dolegało mi nic; ani nierówność materacu hotelowego, ani twardość poduszki. Zdawało mi się, że spoczywam na lekko rozkołysanych falach ciepłego, wonnego powietrza, owiany echem jakiejś dalekiej, słodkiej melodji. Nie czułem wcale siebie, własnego ciała, nie myślałem nic; byłem sam czemś niepochwytnym, nieujętym w żadne formy: rozpłynąłem się w marzeniu.

O czem? Któż przytrzymał przędzę swej wyobraźni, pracującej pod naciskiem krwi, drgającej w chwili przebudzenia się stłumionego dotąd instynktu? Któż wiedział w chwili rodzącej się miłości, że kocha... że pożąda?

Marzyłem o jasnych włosach, o piwnych oczach, o różowych usteczkach, o wdziękach, wabiących z policzków, przypominałem sobie wszystkie te szczegóły dziesięć, sto, tysiąc razy, wracając znów do każdego z osobna, gdy złożyłem z nich całość, piękniejszą niż była w rzeczywistości, bo ogrzaną ciepłem, które tryskało z mego serca.

Było mi tak dobrze, jak kiedyś u stóp matki, gdy słuchałem jej opowieści o dawnych czasach mego narodu. Byłbym chciał stan ten przedłużyć do nieskończoności.

Łoskot jakiegoś spóźnionego powozu, zajeżdżającego przed hotel, wpadł jak bomba między twory mej fantazji. Rozproszył, rozćwiartował mi wszystkie. Usiłowałem połączyć rozpierzchłe części, lecz trudziłem się daremnie. Zamykałem powieki, przyciskałem je palcami — widziadło rozpłynęło się bezpowrotnie.

Zerwałem się z łóżka, stanąłem w otwartem oknie. Na dworze budził się już dzień. Tu i owdzie tylko mrugnęła na płowem niebie nocy czerwcowej mała gwiazdeczka, w mieście odzywały się koguty, po wsiach okolicznych naszczekiwały psy.

Oparłszy skroń na obsadzie okna, spoglądałem ponad siebie, na stary Kynast, wyłaniający się powoli z mgieł porannych. Wtem zapłonęło niebo za szczytami gór, z szczelin lasów, wieńczących wierzchołki, wystrzeliły długie, złociste promienie, rozświecające doliny i łany. Zamek Kynast wystąpił na ciemnem tle jodeł, skąpany w różowych blaskach, otoczony niby aureolą, promieniami ukrytego jeszcze słonca. Świetlane koło roszerzało się coraz więcej, coraz dalej, aż się z poza gór wychyliła ognista kula, wzbijająca się wysoko, na pełne fale rozwidnionego już nieba. Resztki ciemności pierzchły przed dobrodziejem ziemi, przed słońcem.

A ja przycisnąłem dłonie do piersi i szeptałem: Boże, Boże...

Modliłem się, prosiłem. O co? nie wiedziałem wówczas. Zdawało mi się tylko, że się coś we mnie zmieniło, że potrzebuję pomocy z zewnątrz.

Zamknąłem okno i ułożyłem się na pościeli, zasypiając natychmiast, ufny i pokorny, jak drobna dziecina.'

Już minęło południe, kiedym się nazajutrz przebudził. Ubrawszy się zeszedłem na dół do loży portjera, aby zapytać czy panie Rokitnickie zostały w hotelu.

— Wyszły do miasta, szukają mieszkania — odparł sługa.

Pobiegłem za niemi. Przemierzyłem wszystkie ulice, zajrzałem do kilku cukierni, szukałem ich na promenadzie, w «kursalu»

a nie znalazłszy nigdzie towarzyszek wczorajszej podróży, usiadłem na jakiemś krześle, które spotkałem po drodze.

Uczułem się samotnym; zdawało mi się, że powinienem być koniecznie przy nich. Gorączkowy niepokój ogarnął mnie. Każdy zgrzyt żwiru, rozsuwającego się pod stopą przechodnia, działał na mnie, jak dotknięcie baterji elektrycznej; każdy głos niewieści dochodzący z daleka, podnosił mnie na stołku. Dlaczego pragnę tak gorąco widoku tej dziewczyny? Nie umiałem sobie wytłomaczyć powodu tej tęsknoty. Rozumiałem tylko, że cała istność moja skłania się, rwie się, ucieka do niej... do niej.

Nagle uczułem w sercu wszystką krew, potem w skroniach, i mózgu; kipiący war rozlał się po całem mojem ciele; zarumieniłem się, po chwili ostygłem znów i zbladłem. Usta nie drgały, a kolana chwiały się.

To ona! Nie widziałem jej jeszcze, ale wiedziałem, że to ona. Pochyliłem głowę nisko, aby ochłonąć.

«Ona» wyszła rzeczywiście z bocznej alei, postępując obok swej matki. W niebieskiej kaszmirowej sukience z kapeluszem, przewieszonym przez ramię, stanęła przedemną świeża, piękna, jak wcielony wdzięk. I jej twarzyczka spłonęła, gdy mnie ujrzała.

— Czy wolno zapytać, jak panie przepędziły pierwszą noc pod dachem niemieckim? — bąkałem niewyraźnie po zwykłem formalnem przywitaniu.

— Co do mnie, wypoczęłam bardzo dobrze, — odpowiedziała pani Rokitnicka, ale Jadwisia czuwała na moje zmartwienie bardzo długo.

Jadwisia kreśliła kijem parasolki jakieś hierogify na żółtym piasku promenady, spuściwszy białą główkę. Nie chciałem jej mem spojrzeniem zawstydzić.

Byłem pewny, że i ona myślała o mnie.

Poszliśmy razem do hotelu, na obiad.

Pani Ł. nie uprzedzała się, mówiąc, że Warmbrunn należy do najnudniejszych miejsc kąpielowych w Niemczech. Całe towarzystwo składało się z kilku stetryczałych, schorowanych emerytów, starych panien, niemłodych wdów, rożnych kalekow, niedołęgów i rozbitków innych. Na promenadach skrzypiały ciągle krzesła na kołkach, w ktorych służba woziła pacyentów; teatr świecił pustkami, koncerta nie odznaczały się wyborem i smakiem. Brak rozrywek wynagradzała jednak wspaniała okolica, najeżona lesistemi górami, których wierzchołki zdobią ruiny zamczysk byłych «ritterów» szląskich.

Co do mnie, nie tęskniłem wcale za hałaśliwym Wiesbadenem, szczęśliwy, że mi nudny Warmbrunn pozwolił przepędzać całe dnie przy «niej» obok «niej.»

Gdy minęło pierwsze wrażenie, gdy przywykłem do jej widoku, stałem się wesołym, rozmownym, często nawet pustym, jak małe pacholę, a i na jej twarz nie wywoływała moja postać po kilku dniach wstydliwego rumieńca. Oswoiliśmy się rychło z sobą, biegaliśmy razem po górach, po lasach, bawiąc się jak dzieci, wypuszczone z pensji na wakacje.

Cieszyliśmy się z lada drobnostki, śmialiśmy się ciągle, najczęściej bez powodu, przy każdej sposobności, nie wiedząc dlaczego. Chciało nam się śmiać, jak wszystkim ludziom szczęśliwym.

Poważna mama towarzyszyła nam z dala krokiem kwoczki, a widząc nas tak nieopatrznie rozbawionych, uśmiechała się dobrotliwie. Gdy zasiedliśmy wieczorem przy jednym stoliku do herbaty, wypytywała mnie o moje stosunki, o wysokość pensji, o nadzieje na przyszłość i słuchała odpowiedzi mych bardzo uważnie.

— Wiem, wiem, że inżenierowie «mają się» bardzo dobrze— mawiała czasami. U nas w Królestwie, robią technicy przy drogach żelaznych wielkie fortuny.

Nie przeczyłem, ani potakiwałem. Cóż mnie mogły obchodzić pieniądze, majątki, zarobki? Nie bolała mnie nigdy głowa, gdy zabrakło grosza w kieszeni. Nie mając jako student kilku złotych na obiad, nie jadłem go. Rzecz prosta! Potrzeba-ż to koniecznie jadać codziennie dobre obiady? Pierwsza lepsza potrawa smakuje wybornie, gdy ją głód przyprawia. Ileż to razy spożywałem na Mazurach z żarłocznością wilka czarny, suchy, twardy chleb, śpiąc po takiej biesiadzie daleko lepiej niż po wieczerzy u Müllera w Berlinie? Człowiek może się do wszystkiego przyzwyczaić. Od czego jest człowiekiem?..

I tu w Warmbrunn nie troszczyłem się o «marne ciało.» Zapomniałem przy «niej» o całym świecie, o przeszłości i przyszłości, nawet o Terenkoczym, na którego miałem czekać.

Lecz on pamiętał o danem słowie i przyjechał po trzech tygodniach, nacieszywszy się dostatecznie rodziną swoją.

Zaledwie mnie ujrzał i uściskał, schwycił mnie za ręce i przypatrując mi się uważnie, wyrzekł:

— Niby ten sam, a niby inny. Wyglądasz jak dawniej, a mimo to trochę inaczej. Chyba się rozkochałeś, albo przystałeś do poetów.

— Dlaczego? — zapytałem, odwracając głowę.

— Twarz twoją uduchowniło coś, czego znać nie mogę, bo nie wiem co tu robiłeś podczas mojej nieobecności. Zobaczymy!

VI.

Słowa Terenkoczego spłoszyły z ust moich pusty śmiech dziecięcego wesela. Albo się rozkochał, albo... Nie, nie, nie było żadnego «albo», bo nie napisałem w życiu mojem ani jednej kartki poetycznej czy prozą, czy wierszem.

O, tak! Kocham, kocham, kocham!—powtarzałem cichutko, drżącemi usty.

Terenkoczy określił bardzo dobrze uczucie, które przenikało całą istność moją od trzech tygodni. Tak jest! Kochałem tę jasnowłosą, czarnooką dziewczynę od pierwszej chwili, kiedy ją ujrzałem w wagonie, kochałem każdy jej ruch, każde słowo, każdy rys twarzy.

A ta świadomość zabrała mi nieopatrzność, robiąc mnie nieśmiałym, lękliwym. Spotkawszy się z «nią» jeszcze tego samego wieczoru odpowiadałem na jej pytania półsłowkami, rumieniłem sią, drżąc jak trzcina nadbrzeżna, gdy się przypadkiem rączka jej sukni mej dotknęła.

— Co panu jest, panie Zygmuncie? Czy pan słaby?

Spojrzałem na nią, a wzrok mój musiał być dziś inny, niż zwykle, bo i ona zamilkła, spospępniała.

Szliśmy obok siebie w milczeniu, wdychając woń siana, skoszonego świeżo po obu stronach promenady. Za nami postępował Terenkoczy z matką, jakąś żywą zajęci rozmową.

W hotelu, przy wieczerzy przysiadł się Terenkoczy do panny Rokitnickiej, wypytując ją o różne śmieszne rzeczy. Mówił tam coś o kuchni, o gospodarstwie, o zajęciach kobiecych, o pieniądzach, o oszczędności, o pracy itd.

— Czego on chce od niej, ten stary hulaka? Dlaczego trudzi ją tak prozaiczną, nudną gadaniną? Czyby mógł tego anioła posądzać o jakiśkolwiek zmysł do życia praktycznego? Byłoby to świętokradztwem, nikczemnością, zbrodnią. Cóż on sobie myśli? Czy mniema, że «ona» jest niemką, lub angielką?

Kręcę się na krześle, obrzucam kolegę błyskawicami gniewu, zagryzam usta z niecierpliwości. On widzi to, lecz nie ustaje wcale w badaniu, uśmiecha się tylko i pyta dalej. Słyszę, że rozprawia teraz o muzyce, o literaturze, o powieściach. Czy mu się w głowie przewróciło? Czyby chciał zająć moje miejsce w jej

sercu? Nie, nie, to być nie może! Zniszczyłbym go, strzaskałbym, zabiłbym...

Zgrzytnąłem zębami tak głośno, że się Terenkoczy odwrócił. Utopił we mnie swój bystry, sokoli wzrok, ten sam, którym szarą przebijał dal, gdy projektował w polu nową linję drogi żelaznej.

Po chwili podniósł głowę i rozkazał:

— Kelner, wina szampańskiego! — a nachylając się do mnie, uścisnął zwiniętą pięść moją.

Rozbroił mnie tym uściskiem, w którym uczułem ciepło dawnej przyjaźni.

— Kiepski waryacie! — mruknął, zniżywszy głos do szeptu. Nie rozkocham się, nie obawiaj się. Napij się wina, abyś spłukał gorzką żółć, która zakaża w tej chwili krew twoją.

Ssałem w siebie «Röderer'a» z wielką przyjemnością. Potrzebowałem rzeczywiście trochę słodyczy po pierwszym ataku zazdrości. Piłem szybko, wiele, coraz więcej, chcąc ugasić ogień, który płonął w mem łonie.

Widziałem, że i «ona» zwilżyła usteczka kroplistym, szumiącym płynem. Na lica jej wystąpił rumieniec, oczy rozbłysnęły wilgotnie, włosy rozstrzępiły się na czole.

Malowanie! Patrzyłem na nią, jak na cudowny obraz, rozmodlony, zachwycony. Serce moje biło młotem, w mózgu widniała tylko jedna myśl: kocham!

Gdy mi na pożegnanie podała swą ręczkę, przytrzymałem to bieluchne, pulchne cacecko dłużej niż zwykle. Maleństwo drżało w mej twardej od pracy dłoni, jak drobna ptaszyna, strwożona nieznaną jej dotąd niewolą.

W mieszkaniu stanąłem w oknie, oparłszy czoło na zimnej szybie i zamknąwszy oczy. Potrzebowałem ciszy, samotności, aby módz swobodnie marzyć.

Ale Terenkoczy przeszkadzał mi, chodząc po pokoju ciężkim krokiem człowieka, przywykłego do pewnego stąpania na gruncie gliniastym. Nie dość na tem. Ledwo skupiłem myśli, zwracając ją w jedną stronę, otwierał usta i wyrzucał z nich rozne pytania. Nieznośny!

— Słuchaj mnie, Zygmuncie, czy posiadasz jaki majątek osobisty.

— Wystarczył zaledwie do śmierci mej matki — odparłem.

— To znaczy, że zależysz tylko od pracy własnych rąk?

— Jesteś naprawdę bardzo domyślny — ofuknąłem go opryskliwie, niezadowolony wcale z przdmiotu rozmowy.

— Hm! — mruczy Terenkoczy i chodzi znów i stuka w posadzkę, jakby miał cetnary u nóg.

Dlaczego on mnie pyta o takie dziecińśtwa! Przez całe dwa lata nie objawiał nigdy ciekawości w tym kierunku. Co jemu do tego, czy posiadam jaki majątek, lub też nie? Co mnie po majątku? Nauczyłem się pracować, nie byłem nigdy próżniakiem, płacą mnie dobrze, nie pragnę lepszego losu. Gdybym się mógł zarobkiem moim podzielić z «nią,» z moją «najdroższą» z «kochaniem serca mojego»... ach... z «nią.» Zasuwam powieki i widzę «ją», jak na jawie.

— Słuchaj no, Zygmuntku — odzywa się Terenkoczy powtórnie — kochał-żeś się ty kiedykolwiek w życiu, chcę powiedzieć, dawniej, jako gimnaziasta, jako student?

— Nigdy, nigdy! — zaklinam się.

— Przypomnij sobie. Może splotłeś jaki romansik, jaki stosuneczek w szkole, w akademji, lub gdzieś na włóczędze w świecie.

— Nigdy, nigdy — powtarzam z zapałem.

— To źle!

— Źle? dlaczego źle?

— Bo miłość, mój drogi, jest potężną namiętnością, którą przyroda wszczepiła w krew jednostki, aby ród ludzki nie zaginął. Doniosłe znaczenie tego uczucia spowodowało jego olbrzymią siłę, druzgocącą wszelkie zapory i przeszkody.

— Materjalista, bluźnierca! — szepnąłem.

On uśmiecha się pod wąsem i prawi dalej.

— Ale równą siłą jest społeczeństwo z swemi prawami, przepisami, formami. Ono to sprawiło, że człowiek musi jeść, mieszkać, ubierać się, słowem żyć, stosownie do swego stanowiska, jakie zajmuje na drabinie hierarchji towarzyskiej.

Nic nie rozumiałem. Czego on chce dowieść? Jeść, pić, mieszkać, ubierać się. Oczywiście, że trzeba to wszystko robić.

— Nie rozumiesz mnie jeszcze?

Odpowiedziałem przeczącym znakiem głowy.

— Więc słuchaj dalej. Otóż to społeczeństwo nie daje ludziom pracy naukowej tyle, aby mogli żyć w liczbie mnogiej bez troski o jutro, aby mogli sobie usłać ciepłe, wygodne gniazdeczka, zwane ogniskiem domowem.

Zdziwione oko moje pyta: więc cóż ztąd? On rozumie wzrok mego spojrzenia i kończy:

— Przeto nie wolno ludziom, znajdującym się w naszem położeniu, powodować się jedynie uczuciem, namiętnością, bez poradzenia się rozumu. Kto idzie tylko za głosem instynktu, ten ściera się zwykle z wymaganiami społeczeństwa, a taka kolizja wytwarza nietylko w powieściach i dramatach rozwiązanie tragiczne, lecz daleko częściej, daleko doraźniej w codziennem życiu. Widziałem już niejedną tragedję na tym świecie, przewyższającą grozą swoją najśmielsze wymysły autorów i dlatego (ustał na kilka minut) dlatego... nie ożeniłem się.

Ostatnie słowa drżały, jakby wypłynęły z źródła cichej, ukrytej głęboko skargi.

— Nie ożeniłem się, — powtórzył głośno i odetchnął — choć przecież i krew madziarska kipi, szumi, pieni się, choć i serce węgra umiałoby kochać, jak Ottella, jak Romea. Nie miałem odwagi potykać się ze społeczeństwem, niemiłosiernem, jak fatum Hellady. Chyba, że ty masz tę odwagę. Wtedy...

— O, mam ją, mam! — zawołałem gorąco, z przekonaniem.

On uśmiechnął się powtórnie.

— A jednak wolałbym, abyś nie był nowicjuszem w miłości. Nic nie znaczące romansiki w zaraniu życia posiadają tę dobrą stronę, że wystudzają krew. Młodzieniec, który kochał i szlochał, marząc o niepochwytnej kochance, odnajdując rysy swego ideału w twarzy każdej pensyonareczki, lub wreszcie pierwszej lepszej szwaczki, stygnie stopniowo, dojrzewa bezwiednie. Wypłynąwszy później na burzliwe fale życia, nie utonie tak łatwo, jak mniej doświadczony żegiarz. Lecz na co ja tobie to wszystko mówię? Nie uwierzysz dziś, nie usłuchasz mnie, przeciwnie, wyśmiejesz, bo może nie wiesz, że kochasz pierwszą, najgwałtowniejszą miłością.

O, wiedziałem o tem już bardzo dobrze i dlatego nie słuchałem rzeczywiście, nie przywięzując do słów starszego kolegi żadnej wartości. On mówił coś jeszcze, ale ja zatknąłem sobie uszy palcami, skupiając się w sobie samym.

Z «nią» pójdę przez świat cały, przez puszcze Sahary, na przylądek Dobrej Nadziei, usuwając po drodze wszelkie przeszkody. Jej obecność przypnie mi skrzydła do ramion, zakuje pierś mą w stal hartowną, znieczuli mnie na wszystkie niedostatki życia doczesnego.

Ktoby śmiał wątpić?

V I.

— Przypatrz się dobrze temu obrazkowi, abyś go nigdy nie zapomniał.

Staliśmy nad wodospadem, szumiącym w lasach hermsdorfskich. Panie Rokitnickie wracały za dwa dni do kraju, do Polski, gdyż minął już czwarty tydzień od czasu, kiedy przybyły do Warmbrunn. Przed wyjazdem zapragnęła panna Jadwiga skąpać jeszcze raz swe białe paluszki w srebrzystej pianie potoku górskiego. Tylekroć siadywaliśmy tu w dni gorące, parne, chłodząc się wilgotnym oddechem uroczej doliny. Pożegnajmy ją... prosiła.

Staliśmy nad wodospadem, rwącym w przepaść w tumanie wodnej kurzawy. Ja z Terenkoczym na samej krawędzi; panie, bojaźliwsze, o kilka kroków od nas, wsparte na brzozowym ogrodzeniu.

Potok szumiał u szczytu, rozbijał się po skałach, tworzących kilkanaście stopni, coraz gwałtowniejszy, bielszy, perlistszy. Na samym spodzie wirował, wyrzucając z siebie, jakby słup sinego dymu, potem płynął spokojniej, równiej, omijając wielkie kamienie, rozrzucone na dnie łożyska rzeki. Czasem plusnął żwawy pstrąg między odłamami granitu, lub mignęła jaskółka dotykająca kończynami swych skrzydełek powierzchni wody.

— Przypatrz się dobrze temu obrazowi, — nalegał Terenkoczy.

— Dlaczego? — zapytałem opryskliwie, drażniony już od tygodnia nauczycielskim tonem kolegi.

— Bo przedstawia on wiernie pewne uczucie.

Skrzywiłem się, wiedziałem bowiem, dokąd rozmowa zmierza.

Ciąg dalszy nastąpi.

Wspomnienia ze szkół buczackich.

Z licznych dawniej, a tak zasłużoną sławą się cieszących szkół bazyliańskich pozostały na całym obszarze dawnych ziem polskich tylko dwie: szkoła ludowa w Dobromilu i niższe gimnazyum wraz ze szkołą ludową w Buczaczu. Pierwotnie było gimnazyum buczackie zupełnem, to jest składało się z sześciu klas; lecz ponieważ O. O. Bazylianom bardzo dobrze się powodziło, a chęci do pracy brakło, uprosili w r. 1858, jeżeli się nie mylimy, ówczesnego namiestnika, by im wolno było najwyższe dwie klasy zwinąć, na co tenże z uznania godną gotowością się zgodził. Klasztor bazyliański wraz z wspaniałym kościołem, oraz szkoły fundował w r. 1756 Mikołaj Potocki, starosta kaniowski, na górze Fedor z trzech stron rzeką Strypą oblanej. Na stokach góry tulą się do klasztoru jak kurczęta do kwoki, domki zamieszkane wyłącznie przez młódź szkolną. Na przeciwległej górze na drugim brzegu Strypy sterczą ruiny zamku, w którym sławny starosta od czasu do czasu przemieszkiwał i z którego na starość jako pokutnik do odpustowych miejsc: Zarwanicy, Żyżnomierza i Rokomysza piesze pielgrzymki odprawiał. Miasto samo leży w głębokiej kotlinie, obsiadło terasowato wznoszącemi się ulicami ściany kotliny a przedmieściami rozlało się na otaczające wzgórza. W rynku, który jest głównym składem błota ściekającego z ścian kotliny wznosi się ratusz, jakimby się najwspanialsze miasto poszczycić mogło. Zbudowany z ciosu posiada mnóstwo balkonów podtrzymywanych przez karyatydy, a mur szczytowy ozdobiony olbrzymiemi rzeźbami, przedstawiającemi dwanaście dzieł Herkulesa. Nad całym gmachem panuje wysmukła wieża opatrzona zegarem. Przez pożar w r. 1865 znacznie uszkodzony został ratusz buczacki odrestaurowany, lecz do dawnej świetności nie wrócił. Miasto odznacza się zresztą ogromną ilością żydów, bo 75% ogółu ludności stanowiącą i szyneczków, bo na każdym niemal domu znajdziesz tabliczkę z wymalowaną flaszką i kieliszkiem, opatrzoną napisem: «Wyszynk trunków dworskich» [1]). Jak między naszymi uczonymi, literatami i dziennikarzami pod względem pisowni w ogóle, tak też niema zgody i pomiędzy artystami, malującymi owe tabliczki co do pisowni owych trunków dworskich; gdyż można spotkać i etymologiczną i fonetyczną i zupełnie dowolną pisownią, a więc: trunków, trunkuf, tronkuf itp. Pomimo niezgody co do pisowni, panuje idealna zgoda tak między artystami jakoteż wszystkiemi warstwami społecznemi pod względem konsumpcji tychże «trunków dworskich» tak obfitej, że właściciele Buczacza liczą się do bardzo zamożnych ludzi, jakkolwiek oprócz propinacyi nic im prawie z kolosalnego niegdyś majątku nie pozostało.

Tyle o mieście. Komuby jednak to nie wystarczało, a ciekawym był bardzo wielu fałszywych dat, tego odsyłamy do «Słownika geograficznego ziem polskich, i krajów przyległych».

Po tym pobieżnym opisie miasta powracamy do szkół buczackich. Za moich czasów zaginęła już była sława ich naukowa, lecz natomiast pedagogiczna doszła do zenitu, powiadano więc ogólnie, że z kogo O. O. Bazylianie niczego zrobić nie potrafią, ten już chyba tylko w gospodarstwie rolnem lub wojsku karyery szukać może. Z bliższych więc i dalszych okolic zwożono młodzież do Buczacza, a jeżeli w Tarnopolu, Brzeżanach lub Stanisławowie p. p. profesorowie orzekli, że z chłopaka nic nie będzie, oddawali go zdesperowani rodzice do O. O. Bazylianów z nadspodziewanym częstokroć skutkiem. Przypominam sobie, iż miałem w Buczaczu kolegę, który próbował szczęścia we wszystkich prawie gimnazjach wschodniej Galicyi i Bukowiny, a ponoś i północnych Węgier, a którego O. O. Bazylianie swym systemem pedagogicznym tak pokierowali, że dziś jest bardzo poważanym proboszczem ritus graeci, członkiem rady powiatowej i zacnym ojcem rodziny.

Cały ten system pedagogiczny polegał na ścisłem i aż do przesady sumiennem wykonywaniu rady Ducha św., zawartej w znanej ogólnie maxymie ojców naszych: «Rózeczką Duch św. dziateczki bić radzi etc.

Nie umiem sobie do dziś wytłumaczyć, dlaczego przy tak rozrzutnem używaniu i zużywaniu młodych latorośli brzozowych drzewo to nie stało się w okolicach Buczacza tak rzadkiem, jak modrzew w Polsce lub cedr na Libanie.

Szkoły bazyliańskie różnią się tem od jezuickich, że podczas gdy te ostatnie mają wszelkie cechy internatów i prywatnych zakładów wychowawczych, pierwsze były i są zakładami publicznymi. O ile jedne od drugich lepsze lub gorsze nie naszą rzeczą dowodzić: sprawa tyle razy, a tak wymownie częstokroć obrabiana, że nie sądzimy, byśmy ją jakim nowym dowodem pro lub contra poprzeć zdołali. Stwierdzamy tylko fakt, że tak w jezuickich szkołach dawnymi czasami, a w bazyliańskich i po dziś dzień jak najskrupulatniej z cytowanej rady Ducha św. korzystano. Było zwyczajem w szkołach bazyliańskich, że młódź szkolną umieszczano po kilku i kilkunastu po tak zwanych stancyach. Prawo utrzymywania tych stancyj zależało wyłącznie od O. O. Bazylianów, a utrzymywały je po większej części wdowy po urzędnikach publicznych i prywatnych. Panie te musiały być dobrze zapisanemi u księży profesorów, od których cała ich egzystencya zależną była, bo ks. rektor potrzebował rodzicom wpisującym swe dzieci tylko mimochodem napomknąć, że u pani X. lub Y. niechętnieby uczniów ulokowanych widział, a mogły być te panie pewne, że chociażby swych faktorów na wszystkich rogatkach miasta umieściły, ani jednego ucznia na stancyi mieć nie będą. Wskutek tego panowała jak najpiękniejsza harmonja między utrzymującemi stancje studenckie wdowami, a O. O. Bazylianami, a protekcya gospodyni domu wywierała częstokroć bardzo zbawienny wpływ na klasyfikacyą niezbyt pilnego ucznia.

Naczelny nadzór nad wszystkiemi stancyami dzierżyli O. O. bazylianie w swym ręku, lecz do poszczególnych stancyj wysyłali na stałe mieszkanie swych delegatów ozdobionych tytułem dyrektorów, a wybieranych z pomiędzy najenergiczniejszych i najbardziej na zaufanie zasługujących starszych uczniów gimnazyum lub preparandy (dzisiejszego seminaryum nauczycielskiego). Dyrektor taki był zastępcą profesora po za szkołą, a więc był nauczycielem domowym i dystrybutorem plag cielesnych. Jakkolwiek co do pierwszego punktu, tj. nauczania zdarzali się mniej lub więcej nieudolni, to co do rozdzielania plag nie zapamiętano w Buczaczu od najdawniejszych czasów opieszałych dyrektorów, a niektórzy z nich przewyższali nawet pod tym względem swych mocodawców. Jeżeli ojców godziłoby się nazwać despotami, to dyrektorowie byli satrapami najczystszej wody.

Jak w koszarach wojskowych tak też i na stancyach studenckich obowiązywały pewne przepisy, z pod których pod gro-

[1]) Nigdy nie mogliśmy dociec, dlaczego napoje konsumowane w Buczaczu nazywają się trunkami dworskimi. Że nie dlatego, jakoby je na dworach pito, dowodzi bardzo licha ich wartość. Kwestyą tę zmuszeni jesteśmy zostawić naszym etymologom i językoznawcom do rozstrzygnięcia.

za bardzo obfitych plag wyłamywać się nie było wolno. Przedewszystkiem nie wolno było rozmawiać po polsku [1]), który to przepis i w szkole i w domu i na przechadzce: w ogóle na wszystkich miejscach i po wszystkie czasy studenckiego żywota obowiązywał. W szkole królował tak zwany «Sprachzeichen» tj. kawałek drzewa w kształcie książki wyciosany i na czarno pomalowany. Komukolwiek chociażby jedno słówko polskie się wyrwało, dostawał ten złowrogi znak i musiał go tak długo piastować, dopóki go komu innemu za to samo przewinienie nie wetknął. Cenzor zapisywał każdorazowe posiadanie «Sprachzeichenu» w postaci kreski w swej książeczce na ten cel przeznaczonej, a od ilości tych kresek zależała ilość plag, które ksiądz gospodarz klasy w sobotę wyliczać kazał lub też sam wyliczał, co się najczęściej zdarzało.

W domu nie egzystował ten widomy znak zapędów germanizacyjnych; lecz tak samo jak w szkole był cenzor ustanowiony przez dyrektora i opatrzony książeczką, w której następujące przewinienia swe rubryki miały: mówienie po polsku, nie uczenie się, nie umienie lekcyi, nieporządek, wychodzenie z domu bez pozwolenia, przezywanie, przedrzeźnianie, kłamstwo, nieposłuszeństwo i kilka innych. Każdorazowe popełnienie któregokolwiek z wymienionych przewinień zaznaczało się w książeczce cenzorskiej kreską. W każdą sobotę po obiedzie zapraszał p. dyrektor wszystkich swych podwładnych do siebie, kazał wysunąć na środek pokoju ławkę i kładł na niej rózgę na znak rozpoczynających się sądów straszliwych. Po obliczeniu kresek zapadał wyrok, od którego nie było apelacji, a egzekucya następowała natychmiast. Zdarzało się czasem, iż któryś z delinkwentów wiekiem, wzrostem i siłą przewyższał p. dyrektora, a jakkolwiek w duszy może uznawał sprawiedliwość i słuszność wyroku, nie chciał się wskutek popędu samozachowawczego wykonaniu takowego dobrowolnie poddać. W takich razach solidarność i sąsiedzka usłużność innych p. p. dyrektorów jaśniała w pełnym blasku: oto bez względu na pogodę lub słotę, bliższą lub dalszą odległość, spieszyli z pomocą koledze dyrektorowi, rozciągali delinkwenta na ławie i sprawiali, że sprawiedliwości stawało się zadość. Takich pomocników nazywano ogólnie «ojcami chrzestnymi».

Czy w zimie, czy w lecie budziło nas o godzinie czwartej rano gromkie wołanie p. dyrektora: «Auf!» Wszyscy zrywali się jak najspieszniej z łóżek, ubierali się i zasiadali około dużego stołu do nauki. Łatwo sobie wyobrazić, jaka chaotyczna wrzawa panowała, kiedy zasiadło około dwudziestu chłopaków pochylonych nad książkami do głośnej nauki, a każdy innego przedmiotu. Każdy zatkawszy uszy wrzeszczał co sił starczyło, by tylko sąsiadów przekrzyczeć. I tak odetkawszy uszy mogłeś usłyszeć jak jeden recytował z gramatyki niemieckiej słowa piszące się przez ae: aehnlich podobny, Aehre kłos, Baer niedźwiedz—inny z zoologji: Der Orang—Utang lebt in Neu-Guinea und naehrt sich von Blaettern—trzeci z łaciny: Die Maenner, Voelker, Fluess', und Wind' und Monat' masculina sind itd. itd. Nie gorszy chaos panował zapewne przed stworzeniem świata. Wrzawa ta nie przeszkadzała jednak p. dyrektorowi w kontynuacyi przerwanego snu. O godzinie 7 zwoływał nas do swego łóżka, nad którem wisiała rózga brzozowa jako widomy znak jego władzy i słuchał lekcyi. Kto nie umiał dostawał kilka plag natychmiast, a po śniadaniu szli wszyscy do szkoły. Jeżeli i w szkole nie umiał lekcji, to i tam się bez plag nie obchodziło, a w domu notował cenzor dwie kreski: jednę za nieuczenie się, drugą za nieumienie lekcji, co przy sobotnim obrachunku także bezkarnie nie uchodziło. Mógłby nam kto zarzut zrobić, że przesadzamy; lecz tym niedowiarkom możemy przytoczyć pokaźną cyfrę ludzi, którzy i brali i rozdzielali później jako dyrektorowie za jedno i to samo przewinienie po kilka razy plagi.

Domowy kodeks karny buczacki przewidywał najcięższe kary za polską rozmowę; to też podczas gdy zaledwie kilka kresek za jakiekolwiek inne przewinienie odpowiadało jednej pladze, to każda pojedyncza kreska za polską mowę, a jedna plaga znaczyły jedno i to samo. Przypominam sobie pod tym względem bardzo charakterystyczny szczegół z własnego doświadczenia.

Byłem wówczas w czwartej klasie normalnej. Pewnej soboty rano podczas głośnej nauki oświadczył mi mój sąsiad przy stole i kolega Jaś P., któregośmy z niemiecka Hansem zwali, że jakkolwiek ma trzydzieści kilka kresek, to przecież nie da się po południu obić. Ja chcąc także zucha udać, zwłaszcza, że żadnej kreski nie miałem, oświadczyłem Hansowi nawzajem, że pod tym względem zgadzam się z nim zupełnie i również stanowczo oprę się plagom. Na tem się nasza rozmowa skończyła. Wyrecytowawszy lekcyą poszliśmy do szkoły. Po objedzie zgromadził nas p. dyrektor w swym pokoju, kazał sobie podać księgę przewinień, wysunąć ławkę, rózgę na niej położyć i ku ogromnemu memu przerażeniu kazał mnie pierwszemu ulokować się na niej w odpowiedniej pozie. Cały poranny mój rezon opuścił mię; drżącym więc głosem zapytałem p. dyrektora, jakie jest me przewinienie, kiedy żadnej kreski nie posiadam? Słodkim głosem odrzekł p. dyrektor, a słodkim był zawsze, kiedy plagi rozdzielał: «Rozmowę «twoję z Hansem słyszałem, lecz karzę cię nie za to, coś powie- «dział, boś jeszcze głupi dzieciak, lecz za to, żeś to po polsku powiedział.» Pomnąc na to, że pokora niebiosa przebija, zapomniałem o przyrzeczeniu danem rano Hansowi i dobrowolnie pozwoliłem sobie wyliczyć dwie plagi. 18-letni, a silny jak młody dąbczak Hans chciał dotrzymać danego słowa, lecz zaproszeni «chrzestni ojcowie» zniszczyli jego piękny zamiar.

Obok kar cielesnych używali p. p. dyrektorowie także kary postu. Ponieważ nie było dnia, w którymby jeden lub więcej chłopaków nie musiało się wstrzymywać od śniadania, objadu, lub kolaciy, utrzymywali złośliwi, że p. p. dyrektorowie bywali w zmowie z gospodynią domu, a z powstałych oszczędności pewien rabat otrzymywali. Uważam to za złośliwe oszczerstwo, gdyż później sam byłem dyrektorem, a nigdy mi gospodyni podobnych propozycyj nie robiła. Przypadkowi jedynie muszę to przypisać, lub memu bardzo miłemu i uprzejmemu zachowaniu się (przymioty te zostały mi dotychczas), że bardzo często dostawały mi się najwyszukańsze i najpożądańsze przysmaczki.

Nauka w szkołach początkowych t. z. normalnych odbywała się w Buczaczu według starego szablonu. Jakkolwiek przyznać musimy, że dzisiejszy system przewyższa dawny pod wszelkimi innymi względami, to przecież pod względem nauki języka niemieckiego dawny system był o wiele lepszym. Już w drugiej klasie normalnej zaczynały dzieci uczyć się tak zwanego komeniusza. Był to zbiór zdań pojedyńczych, często najmniejszego sensu niemających podanych w języku polskim i niemieckim, których to zdań na pamięć uczyć się należało. Mając już pewien zasób słów i zdań niemieckich musiał chłopak już w trzeciej klasie mówić i w szkole i w domu po niemiecku i zaczynał się uczyć «praktycznej gramatyki języka niemieckiego». Była to bez wątpienia najlepsza książka do nauki języka niemieckiego, a zawierała obok reguł gramatycznych i ortograficznych ustępy do tłumaczenia z języka niemieckiego na polski i z polskiego na niemiecki. To też w owe czasy uczeń wstępujący do gimnazyum często i mówił i pisał po niemiecku poprawniej, niż dziś student uniwersytetu. Polskiego i ruskiego języka musiał się uczyć każdy uczeń bez względu na narodowość. Do programu naukowego szkół normalnych należała także nauka śpiewu, kaligrafii (Schoenschreiben) i rysunków. Dwóch ostatnich przedmiotów uczył prawie zawsze nauczyciel świecki, śpiewu zaś uczył za mych czasów dyrektor szkół normalnych ks. Ł. Był to wielki amator rozdzielania plag; wskutek tego każde spóźnienie się na naukę śpiewu, każdy fałszywy ton pociągały za sobą natychmiast większą lub mniejszą ilość razów, które ks. dyrektor zawsze własnoręcznie już to bezpośrednio, juz to za pośrednictwem pewnej części ubrania rozdzielał. Ze wśród wykonania wyroku delinkwent wysokimi tonami śpiewał, rozumie się samo przez się. Pierwsze miejsce między wszystkimi utworami chóralnymi zajmował hymn ludowy we wszystkich «trzech językach krajowych» (alle drei Landessprachen) następnie śpiewano: «myr wam bratia», a nakoniec pieśni kościelne także w trzech językach.

Do kościoła chodziliśmy codziennie i w zimie i w lecie; na chórze śpiewali starsi uczniowie naprzemian łacińskie, niemieckie, ruskie i polskie pieśni, a młodsi musieli w ciągu całej mszy głośno z książek się modlić. Kościół robił tedy wrażenie olbrzymiego ula, w którym głos kapłana śpiewającego mszę św. przedstawiał królowę, cienkie głosiki dziatwy pszczoły robocze, a grubsze głosy starszych uczniów naśladowały wybornie trutnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Przepis ten musiał zapewne wskutek zaprowadzenia w roku 1868 polskiego języka wykładowego w szkołach galicyjskich stracić swą moc obowiązującą.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Album studiosorum Universitatis Cracoviensis. Fasciculus I. (ab Anno 1400 ad Annum 1434).

„Album studiosorum“, zwane również „Matricula“ lub „Metrica“ zawierające spis uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego począwszy od jego podniesienia przez króla Władysława Jagiełłę aż do reformy Kołłątaja, jest obfitem źródłem do historji tegoż uniwersytetu; oprócz tego stanowi niemałe źródło etymologji nazw rodowych i imion chrzestnych, równie jak miejscowości na całym obszarze ziem dawnej Polski. Z tych to przyczyn postanowił Senat Akademicki wydać je w całości i pracę tę powierzył zasłużonemu i niezmordowanemu pracownikowi p. Żegocie Paulemu.

Zeszyt 1-szy, który mamy przed sobą zawiera oprócz zagajenia b. rektora X. Pelczara i wstępu wydawcy, na czele datę podniesienia uniwersytetu i pierwszych założycieli i dobrodziejów, między którymi znajdujemy imię króla Władysława, a po nim Piotra Wysza, biskupa krakowskiego, Jana z Tęczyna, kasztelana krakowskiego. dalej Aleksandrę, księżną, żonę Ziemowita IV. mazowieckiego i jego syna Władysława zwanego Aleksandrem, i wiele innych. Następują doktorowie i magistrowie, porządek modłów za dobrodziejów, formułka przysięgi dla uczniów, a nakoniec latami „scolares“ czyli uczniowie. W pierwszym roku mamy zapisanych 204, dalszych liczba nowo immatrykułowanych jest mniejsza ale nigdy nie spada niżej 30.

Między imionami spotykamy nieznane prawie już dzisiaj jak Febrosław, Warcisław, Wojsław, Sędosław; między nazwiskami rodowymi takie jak Szafraniec (Schafranecz), Nawoj (Nauogii), Żuk (Zukonis), Ząbek (Sabconis), Bursęk (Bursanconis) i inne. Wiele nazwisk niemieckich z dodatkiem miejcowości pouczają nas, że Śląsk dostarczał licznego pocztu słuchaczy: napotykane nazwy węgierskie świadczą o napływie i tych sąsiadów do Krakowa.

Metryka cała składa się z pięciu tomów a raczej sześciu części; pierwsza do czwartej (od r. 1400 do 1642) znajduje się między rękopismami biblioteki jagiellońskiej; część szósta czyli tom 5 (od r. 1720 do 1780) w archiwum senatu uniwersyteckiego. Część piąta (od r. 1643 do 1719) spłonęła w r. 1719 w pożarze budynku O. O. Jezuitów przy kościele św. Piotra, od którego zajęło się i Collegium iuridicum.

Badacze dziejów uniwersytetu jagiellońskiego w szczególności i w ogóle wszyscy, których przeszłość jego interesuje, oczekiwać będą pewnie z niecierpliwością dalszego ciągu tego pożytecznego wydawnictwa.

N. N.

O pisowni ija yja w wyrazach przyswojonych. Uwagi Dra Józefa Majera ogłoszone w miejsce rękopismu dla rozdzielenia pomiędzy Członków Akademji w Krakowie 1884.

Przyczynki do sprawy pisowni polskiej..... Napisał Kappapiro. Kraków 1883.

Ortografja dziś, jak to mówią, na porządku dziennym. Skoro prof. Kryński wystąpił ze swoimi wnioskami i po wydrukowaniu ich w „Bibliotece Warszawskiej“ (lipiec r. 1882), osobno Akademji Umiejętności do ostatecznego rozstrzygnięcia przedłożył, poczęły się pojawiać tu i ówdzie uwagi nad niemi i oceny, zanim jeszcze Akademja do rozstrząśnienia się zabrała. Zabierali głos jak zwykle w takich razach, nie powołani, ale dyletanci na ochotnika i znalazłszy jakikolwiek argumencik przeciw proponowanym zmianom występowali do kruszenia kopji w obronie zastarzałych błędów i nawyknień.

Takim rycerzem ze spuszczoną przyłbicą jest i p. Kappapiro (pseudonym), który w przytoczonej powyżej rozprawce, a raczej pogadance sili się na rozstrzygnienie wątpliwych dla niego kwestyj pisania bezokoliczników: *móc, strzyc, lec, leść, wieść, wziąć,* które (z wyjątkiem ostatniego) radzi pisać podług nałogu dotychczasowego: *módz, strzydz, ledz, leźć, wieźć.* Bez znajomości podstawnych elementów lingwistyki i gramatyki, z pewnym tylko zasobem sprytu wątpliwej wartości, sądzi p. Kappapiro, że znalazł kamień filozoficzny, którego inni długo mozolnie szukali; w obec tego staje się z nim wszelka dyskussja niemożliwa. Silenie się na dowcip nie jest argumentacją przekonywującą i może p. K. być pewnym, że jeżeli propozycje naukowe u publiczności nie zyskują przyjęcia, stało się to niezawodnie nie wskutek jego pogadanki, lecz wskutek nałogu, który i przez niego przemawia.

Inne źródło mają uwagi Dra Józefa Majera. O ile naszych uszu doszło zwyciężyła w debatach komisji językowej Akademji Umiej. nad pisownią wyrazów przyswojonych, pisownia zalecana przez Małeckiego w gramatyce szkolnej, tj. przez *ya* lub *ia* np. Marya, Zofia. Szanowny Prezes Akadamja Umiejętności, wprowadziwszy od początku w jej publikacje racyonalny sposób pisania przez *yja, ija,* zwyciężony obecnie przedstawia swe votum separatum w formie małej broszurki, której część pierwsza polemizuje z dawniejszymi oponentami tej pisowni, druga z drem W. Wisłockim, oponentem w debatach; kończy się zaś przedstawieniem korzyści z używania tej pisowni. Argumenta zestawione gruntownie i ściśle, chociaż Szanowny Prezes nie jest lingwistą ale fizyologiem; z tego też ostatniego stanowiska broni swej sprawy do upadłego, z „przekonania,“ chociażby to przekonanie nie przyjęło się u publiczności.

Zaimek.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— Nakładem K. Bartoszewicza wyszedł zbiór nowell p. t. Z italskich wspomnień, zalecający się serdecznem ciepłem. Cena 1 złr. Cały dochód przeznaczony na oświatę ludowa.

— Wydawca warszawski Paprocki wydaje zbiór nowell *Michała Bałuckiego.*

— Z początkiem przyszłego roku zamierza wydawca „Kłosów“ Lewenthal rozpocząć zbiorowe wydawnictwo dzieł *Michała Bałuckiego.*

— *Wł. Okońskiego* (Swiętochowskiego) „Antea“ doczekała się przekładu na język francuski.

— *Fr. Coppée,* znany poeta francuski został członkiem Akademji.

— *„Kawalerowie Maltańscy“ dramat Bulthaupta* przedstawiony w teatrze Meiningeńskim zyskał niezwykłe powodzenie.

— *Spielhagena „Uratowany“* nowa komedja przedstawiona została w Hamburgu dnia 19 lutego z powodzeniem.

— *W. Jordan* napisał nową komedją „Jego brat-bliźniak“, którą we Frankfurcie przedstawiono.

— Dnia 15 b. m. obchodzić będą w Warszawie jubileusz znanej powieściopisarki Marréne-Morzkowskiej.

— 3-ci tom „Ogniem i mieczem“ Sienkiewicza ukaże się w połowie Marca. Pierwszych dwóch tomów sprzedano dotąd 2200 egz. Sam Kraków przeszło 200 egz. rozkupił.

— 3-ci zeszyt „Pereł humoru polskiego“ wyjdzie dnia 12 b. m. Znajdować się w nim będą między innemi ciekawe pieśni humorystyczne z wieku XVI. pochodzące.

— Jeden z krakowskich literatów przełożył bardzo wiernie i artystycznie część utworów Mirza-Schaffy. Niektóre z nich pomieścimy w naszym „Przeglądzie.“

Z dziedziny malarstwa, muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— *W. Siemiradzkiego* najnowszy obraz „Spalenie zwłok księcia słowiańskiego „w drodze do Petersburga wystawionym będzie w Berlinie.

— Artyści polscy mieszkający w Rzymie złożyli album rysunków swoich na rzecz teatru poznańskiego. Między innymi spotykamy tam rysunki Siemiradzkiego, Bakałowicza, Wełońskiego, Sosnowskiego i w. i.

— *Zygmunt Noskowski,* znany kompozytor wydał „Trzy pieśni ludowe polskie na dwa głosy żeńskie i fortepian“ Lipsk u Kistnera.

— *K. Goldmark* wykończa nową operę p. t. „Attila.“

— Najnowsza opera *de Swerta* p. t. „Kamień węgielny“ zyskała wielkie powodzenie w Moguncyi.

— „Księżna Ida“ *Sullivana* przedstawiona w Londynie zyskała pochlebne zdanie krytyki muzycznej.

— *Posąg Drakego,* znakomitego podróżnika odsłonięto z wielką uroczystością w 300-rocznicę dnia 14 lutego b. r. w Plymouth.

— *A. Braun* et Comp. w Lipsku podjął wydanie *najznakomitszych arcydzieł z drezdeńskiej galerji.* Tekst ma dać prof. Woermann, dyrektor galerji.

— *Orkiestra Meiningeńska* pod kierunkiem Bülowa podróżując po północnych Niemczech była przedmiotem nadzwyczajnych owacyj w Hamburgu dnia 18 i 19 lutego b. r.

— W przedostatnim Nrze „Monde Illustré“ znajdujemy piękny rysunek Aksentowicza: Na wystawie sztuk pięknych.

— *P. Jan Styka* pracuje nad obrazem: Chrystus rozdzielający chleb między rzesze.

— W pracowni p. *W. Gadomskiego* widzieliśmy rozpoczęty biust marmurowy pana S.

Do przyszłego Nru dodane będą dwa rysunki.

— Satyry. Kraków 1883 —·30
— Wiersze różne i wiersze z prozą. Kraków 1883 —·40
— Listy. Kraków 1883 —·10
— Myszeis. Kraków 1883 —·20
— Monachomachja i Antimonachomachja. Kraków 1882 —·20
— Wojna Chocimska. Kraków 1883 —·20
— Pieśni Ossyana. Kraków 1883 —·30
— Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego Kraków 1883 —·50
— Historja. Kraków 1883 —·50
— Pan Podstoli. Kraków 1883. 1·—
— Komedje. Kraków 1883. 1·—
— Dzieła w 5 tomach z portretem. Kraków 1883. 4·—
— toż samo w oprawie 6·—

Kraszewski J. I. Tomko Prawdzic, wierutna bajka. Lwów 1866. cena 50 ct. zniż. na—·25
Lipiński Tymoteusz. Pamiętniki z lat 1825 — 1831, Kraków 1883. 2·—
Łoziński Wł. Galiciana. Lwów 1872 cena 1 zl. 50 ct. zniżona na—·80
Mill John Stuart. O rządzie reprezentacyjnym, przełożył na język polski G. Czernicki. Kraków 1866, cena 2 złr. 40 ct. zniż. na—·50
Müller Max. prof. Religja jako przedmiot umiejętności porównawczej, Kraków 1876 cena 1 zł. 20 ct. zniżona na—·60

Dr. Müller Karol. Świat roślinny, dzieło poświęcone miłośnikom przyrody z 400 drzeworytami. Kraków 18 7 2 tomy 4 złr. zniż. na 2.50
Niemcy czy Moskale. Kraków 1881. —·25
Nowelle. Zbiór nowelli: Dickensa, Daudeta, Puszkina Copeé'go, Turgeniewa, Kulisza, Elizy Polko, Jokaja i t. d. Kraków 1883. 3 zeszyty. Każdy zeszyt po —·50
Okoński. Niewinni i Antea, dramaty. Kraków 1876. 1 złr. zniżona na—·50
Opaliński. Satyry. Kraków 1883 (w druku). —·80
— toż samo w oprawie 1·20
Pawlikowski. Tajemnica pani Krzuckiej, nowella, Kraków 1876. —.75
Pieśni polskie, zbiór ulubionych pieśni patrjotycznych. Kraków w r. 1883. —·60
— toż samo w eleganckiej oprawie 1·—
Pol Wincenty. Obrazy z życia i natury 2 tomy, 4 zł. zniżona na 1·60
Przewodnik po Krakowie (najnowszy) z dołączeniem planu miasta, informacyj, adresów. Kraków 1882—·60
— toż samo w oprawie —.60
Rovani Młodość Juliusza Cezara, opowiadanie z czasów rzymskich. Kraków 1876. (wyczerpane)
Sabowski. Józef Hauke Bosak, szkic biograf. Kraków 1866. —·20

— Intrygant, powieść. Kraków 1876 (na wyczerpaniu). zniżona na—·75
Schmidt Henryk. Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania Stanisława Augusta z 8 rycinami rysunku Kossaka i W. Eljasza. Kraków 1862 cena 1 złr. 20 ct. zniż. na—·50
Szujski. Długosz i Kallimach. Lwów 1880. 1·—
Słowacki Juljusz. Hugo, Mnich, Arab, Jan Bielecki, Żmija, W Szwajcarji, Ojciec zadżumionych. Kraków 1882. —.40
— Lambro, Anhelli, Wacław, Duma o Rzewuskim, Grób Agamemnona, drobne wiersze. Kraków w roku 1882. —·40
— Mindowe, Marja Stuart, Pan Tadeusz. Kraków w r. 1882. —·40
— Sen srebrny Salomei, Król Duch. Kraków 1882.—·40
— Balladyna. Kraków 1882. —·40
— Beniowski. Kraków 1882. —·40
— Lilla Weneda, Mazepa. Kraków 1882 —·40
— Kordjan, O potrzebie idei. Kraków 1882. —·40
— Książę niezłomny. Kraków 1882. —·40
— Ksiądz Marek, Poema Piasta Dantyszka o piekle Kraków 1882. —·40
— Dzieła Juljusza Słowackiego, pierwsze tanie wydanie w 5-ciu tomach, zawierające toż samo co wydania lipskie i lwowskie z dodaniem odnalezionego urywku poematu „Pan Tadeusz“ Kraków 1882 cena 4·—
— toż samo oprawne w płótno angielskie 6·—
Sprawozdania literackie. Maj-Październik 1882. r. Kraków 1883 —·20
Stanowisko Polaków w sprawie rossyjsko-niemieckiej. Kraków 1882. —·30
Szajnocha. Początek lechicki Polski. Lwów 1858 r. cena 4 złr. zniżona na 1·50
Szpaderski X. Patrologja. 2 tomy. Kraków 1878 r. cena 4 złr. zniżona na 1·50
Wierzbicki Dr. Geometrja wykreślna wraz z zastósowaniem do teoryi cieniow i wolnej perspektywy 2 części z 2 atlasami dla użytku wyższych szkół realnych. Kraków 1875 każda część 2 zł. zniżona na 1 złr. 50 ct. dwie części 3·—
Zacharjasiewicz. Marek Poraj, powieść z czasów pierszego rozbioru Rzplitej polskiej. Kraków 1867. cena 2 złr. 40 ct. zniżona na—·80
Załęski St. ks. T. J. Słowo o książce Juljana Bartoszewicza: Szkic dziejów kościoła ruskiego. Lwów 1881. —·15
Ziemiałkowski Florjan, życiorys z portretem. Kraków 1883. 1·—
Zawiliński R. Z Etnografji krajowej. Kraków 1883. —·20
Żółkowski. Momus. Kraków 1883 —·80
— toż samo w oprawie 1·20

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca **Jan Blaschke.**

W drukarni A. Koziańskiego.